



Aleksander Krzysztof Sitnik OFM

Gustawa Mariana Stysiaka OFM wspomnienia misyjne, 1939–1942

Misjonarz bernardyński Gustaw Marian Stysiak OFM napisał wspomnienia zatytułowane *Moje wspomnienia misyjne z Sachalinu*. Obejmują one okres od 1939 r. do roku 1942. Przechowywane są w Archiwum Prowincji oo. Bernardynów w Krakowie pod sygnaturą RGP-k-129. Maszynopis obejmuje 72 strony. Kim był autor wspomnień? Gustaw Marian Stysiak (1911–1981), urodził się 15 listopada 1911 r. w Ulejnie koło Środy Wielkopolskiej. Był synem Mikołaja i Bronisławy Winnickiej. Szkołę powszechną ukończył w Dębiczu. Ukończył klasy I–III w Gimnazjum franciszkanów we Wronkach i klasy IV–V w Gimnazjum w Rybniku. Do Zakonu Braci Mniejszych (bernardynów) wstąpił 4 września 1929 r. i odbył roczny nowicjat w Leżajsku. Po nowicjacie kontynuował naukę w gimnazjum, uzyskując świadectwo dojrzałości w Państwowym Gimnazjum imienia A. Malczewskiego w Sokalu w 1934 r. Studia filozoficzno-teologiczne odbył w seminarium bernardyńskim we Lwowie w latach 1934–1938. Profesję wieczystą złożył 5 września 1933 r. Święcenia prezbiteratu przyjął 19 czerwca 1938 r. z rąk bpa Eugeniusza Baziaka. W Ateneo Pontificio Antoniano w Rzymie uzyskał stopień licencjata teologii 6 lutego 1939 r. Tam również ukończył kurs misyjny. Na krótko wrócił do Polski i 5 marca 1939 r. wyjechał ze Lwowa na Sachalin japoński. Przybył do Sapporo, a stamtąd dotarł na wyspę 3 maja 1939 r. Po krótkim pobycie w Toyohara, udał się do Maoka, gdzie przygotowywał się do pracy misyjnej i uczył się miejscowego języka. W latach 1945–1948 pełnił obowiązki prefekta apostolskiego, a zarazem



Gustaw Marian STYSIAK (1911–1981),
bernardyn (Archiwum Prowincji
oo. Bernardynów w Krakowie)



Gustaw Marian STYSIAK (1911–1981),
bernardyn (Archiwum Prowincji
oo. Bernardynów w Krakowie).
Zdjęcia z 1943 r.



Gustaw Marian STYSIAK (1911–1981),
bernardyn (Archiwum Prowincji
oo. Bernardynów w Krakowie)



Gustaw Marian STYSIAK (1911–1981),
bernardyn (Archiwum Prowincji
oo. Bernardynów w Krakowie)

komisarza prowincjalnego. Jemu przypadło w udziale zadanie likwidacji misji na Sachalinie. Po powrocie do kraju w 1948 r. został najpierw wikarym klasztoru w Leżajsku, a w latach 1950–1955 gwardianem. W latach 1955–1960 pracował jako katecheta młodzieży szkół średnich w Radomiu. W latach 1960–1963 pracował w Łodzi. Pełnił tam obowiązki spowiednika alumnów Seminarium Diecezjalnego oraz sióstr zakonnych. W 1963 r. został przeniesiony do Piotrkowa Trybunalskiego. Pracował jako kaznodzieja, rekolekjonista osób konsekrowanych i misjonarz ludowy. Zmarł po długiej i ciężkiej chorobie w szpitalu 29 listopada 1981 r. w Piotrkowie Trybunalskim¹. Poniżej zaprezentuję wspomnienia o. Stysiaka.

Krótką historia naszej Misji de Karafuto /Sachalin Japoński/ oraz moje wspomnienia z pracy misyjnej

Misja na Karafuto została erygowana i oddana naszej Prowincji, jako część Wika-riatu Apostolskiego de Sapporo przez breve apostolskie dnia 18 lipca 1932 roku. Najpierw nieco o samej wyspie. Wyspa Sachalin, po japońsku zwana Karafuto, leży nad wybrzeżem syberyjskim. Długość jej wynosi 900 km, a szerokość waha się od 25 do 150 km. Powierzchnia wyspy posiada 75,978 km². Od terytorium Azji oddziela ją Zalew Tatarskie, a od strony Japonii morze Japońskie /Ochockie/.

Na wysokich szczytach gór prawie cały czas nie topnieją śniegi, stąd klimat jest zimny – syberyjski, to znaczy długie surowe zimy, nieraz temperatura dochodzi na

¹ K. J. Grudziński, A. K. Sitnik, *Bernardyni w służbie Ojczyzny, 1453–1953*, Kalwaria Zebrzydowska 2015, s. 278, 300; J. Kachel, *Bernardyni, 1453–2003*, cz. 5, Warta 2004, s. 237; W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie, 1911–1948*, Kalwaria Zebrzydowska 2003, s. 5, 18, 51, 63, 75–76, 91, 94–95, 97, 100, 103, 106–107, 109–110, 121–122, 137, 142, 149–150, 168–169, 171; H. E. Wyczawski, *Bernardyni polscy, 1772–1946*, t. 3, Kalwaria Zebrzydowska 1992, s. 17, 406, 407; tenże, *Bernardyni poza swymi klasztorami w XX wieku*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce w jej granicach historycznych*, red. H. E. Wyczawski, Kalwaria Zebrzydowska 1985, s. 497; K. Grudziński, *Stysiak*, w: *Słownik polskich pisarzy franciszkańskich*, red. H. E. Wyczawski, Warszawa 1981, s. 470–471; K. Grudziński, *Śp. O. Gustaw Stysiak*, „Vita Provinciae” 1 (1985), s. 68–71; APBK rkps VI-c-11, *Liber novitatus* [-] in conv. *Leżajscensi*, 1929–1960, s. 12–13; rkps RGP-e-47, Akta personalne zakonników, 1771–1959, s. 1905–1919; rkps RGP-h-1, Akta dotyczące misji i rekolekcji, prowadzonych przez Zakon Braci Mniejszych bernardynów, 1823–1944, s. 857; rkps RGP-d-4, Akta dotyczące studiów Prowincji Galicyjskiej i Polskiej Zakonu Braci Mniejszych bernardynów, 1831–1943, s. 133–295.

wschodnim wybrzeżu do minus 64 stopni, a lata bardzo krótkie i upalne. Jednak spotyka się także nadzwyczaj piękne kotliny, które bywają bardzo urodzajne. Na północy wiele jest miejsc wilgotnych i bagnisk. W górach i między górami rośnie wiele wspaniałych drzew, stąd na wyspie rozwinął się ostatnio przemysł drzewny i papierniczy. Mieszkańcy trudnią się w większości rybołówstwem, polowaniem, w mniejszości rolnictwem. Ziemia jest bogata w różne minerały, a szczególnie w węgiel, który najobficiej wydobywa się w górach /inaczej niż u nas/.

Historia wyspy nie jest zbyt dawna. Pierwsi Japończycy badali wyspę w roku 1613, ale tylko część południową. W roku 1645 niejaki Bazyli Poyarkov, Rosjanin, zwiedził tylko część wyspy przy ujściu rzeki Amur. W roku 1709 misjonarze z zakonu OO. Jezuitów podróżując po tejże wyspie sądzili, że jest to półwysep przylegający do ziemi syberyjskiej. Wreszcie w roku 1808 japoński geograf nazwiskiem Mamia Rinzo objechał brzegi dookoła i stwierdził, że jest to wyspa nie przylegająca do ziemi syberyjskiej.

Do roku 1852 Sachalin był własnością Chin. W tymże roku armia rosyjska zawładnęła wyspą i część południową odstąpiła Japonii. W 1875 roku Rosja darowała Japonii wyspy Kurylskie, w zamian za to Japonia oddała Rosji południową część Sachalinu. Tak to cała wyspa przeszła w ręce Rosji, która tutaj zamianowała swojego specjalnego gubernatora i wysłano tu z głębi Rosji, a także z naszych ojczy- stych terenów mężczyzn i niewiasty, skazanych na wygnanie.

W większości byli to przestępcy kryminaliści /znałem jeszcze 2-ch żyjących zesłańców: Lubowieckiego i Rzewuskiego/. Sachalin stał się miejscem twardej, przymusowej pracy zesłańców i ich los był gorszy od więźniów. Nie mając żadnej opieki duchowej nie dziwne, że zesłańcy i ich dzieci stali bardzo nisko moralnie i dyscyplinarnie. /Por. O. Agnellus Kowarz, *Sachalin, die Insel der Einsamen*, Wrocław /Breslau/ 1929/.

Gdy nastąpiła wojna japońsko-rosyjska w latach 1904–1905, Japończycy zawładnęli całą wyspą, a Rosjanie bojąc się szykan ze strony Japończyków, w większości uciekając, opuścili wyspę. Pod koniec 1905 roku na mocy układu w Portsmouth, część północna Sachalinu została przyznana Rosji, a część południowa Japonii.

Kwestia wiernych i pierwsi misjonarze

W roku 1907 o nieznanym nazwisku kapłan katolicki z diecezji Hakodate /Japonia/, przybył na Sachalin, gdzie zastał około 100 katolików Polaków i Japończyków.

Od tej pory raz roku misjonarz z Hakodate przyjeżdżał tutaj z posługą duszpasterską i wyspa ta należała do diecezji Hakodate. Kiedy jednak w roku 1912 o. Angellus Kowarz² z Prowincji św. Jadwigi /o nim więcej napiszę w innym miejscu/, wybudował w centrum Sachalinu w mieście Toyohara pierwszy kościół, Sachalin został wyłączony z diecezji Hakodate, a włączony do nowopowstałej Prefektury Apostolskiej de Sapporo, która później została podniesiona do stopnia Wikariatu Apostolskiego, a o. Agnellus należał do misji de Sapporo. O. Angellus wybudował dwa dalsze kościoły w Odomari w roku 1927 i w Maoka w roku 1930.

W chwili, kiedy Stolica Apostolska wydzieliła z Wikariatu Apostolskiego wyspę Sachalin i w roku 1932 przez swoje breve wydane 18 lipca ogłosiła terytorium Sachalinu Południowego jako „Missio independene sui Juris” i powierzyła to terytorium naszej Prowincji [bernardyńskiej], większe miasta na tej Misji były: Toyohara – licząca około 26.000 mieszkańców – było centrum władzy cywilnej. Dalej Odomari, główny port Sachalinu, liczące około 30.000 mieszkańców, Maoka, licząca około 12.000 mieszkańców i dalej Ochiai, Shiritori, Shizuka, Esutori, Tomarieru, Trandomari, Tondomari, Honto, Konuma i Shimba.

Ogółem na tym terenie było wówczas 295.187 mieszkańców, z których większość to napływowi Japończycy z różnych wysp, mniejszość to około 150 Polaków i Rosjan schizmatyków oraz około 50 osób Tatarów muzułmanów i mahometan.

Misjonarzy było pięciu – ojców naszej prowincji, których później wymienię oraz o. Agnellus Kowarz z Prowincji św. Jadwigi, twórca i pierwszy organizator tej Misji i o. Władysław Flesch³ z Prowincji Fuldzkiej. W roku 1933 dwaj ostatni udali się na wyspę Hokaido. Od tej pory Misja nasza stała się całkowicie w administracji niezależna od ojców z Niemiec, natomiast jurysdykcyjnie podlegała jeszcze ordynariuszowi de Sapporo. W tymże roku /1933/ jest uwidocznionych 500 katolików, 80 katechumenów, 40 osób przyjęło Sakrament Chrztu św., 24 osoby Sakrament Bierzmowania. Założono już III Zakon św. O. Franciszka i Apostolstwo Modlitwy.

Cofnę się do wyjazdów naszych ojców misjonarzy z Polski. W pierwszej ekipie w roku 1930 wyjechał o. Gerard Piotrowski⁴, Misjonarz Apostolski, były Administrator Apostolski na Mandżurię i Syberię, o. Paulin Wilczyński⁵, były misjonarz

² W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 157.

³ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 161.

⁴ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 146.

⁵ Paulin Franciszek Wilczyński (1881–1989), kapłan. Urodził się 8 stycznia 1881 r. w Będziemyślu koło Rzeszowa. Był synem Józefa i Urszuli Idzik. Szkołę powszechną ukończył

w Sędziszowie. Cztery klasy Gimnazjum ukończył w Rzeszowie. Do Zakonu Braci Mniejszych (bernardynów) wstąpił 24 września 1899 r. i odbył roczny nowicjat w Leżajsku. Pierwsze śluby czasowe złożył 25 września 1900 r. Po nowicjacie kontynuował naukę w Gimnazjum w Przemyślu. Studia filozoficzne odbył w Krakowie w latach 1901–1903. 18 października 1903 r. złożył zakonną profesję wieczystą. Studia teologiczne odbył we Lwowie w latach 1903–1906. 1 lipca 1906 r. przyjął święcenia prezbiteratu z rąk arcybpa Józefa Bilczewskiego. W latach 1906–1911 pracował w Kalwarii Zebrzydowskiej, przez ostatnie trzy lata będąc wikarym klasztoru. W latach 1912–1913 pracował w Krakowie. W 1913 r. złożył egzamin dojrzałości w Gimnazjum imienia Jana III Sobieskiego w Krakowie. W latach 1913–1916 studiował filozofię chrześcijańską na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. W latach 1916–1920 był gwardianem i administratorem parafii w Gwoźdźcu. W latach 1920–1922 był administratorem parafii Przyborowice w diecezji kieleckiej, przynależąc do klasztoru krakowskiego. W latach 1922–1926 uczył w Kolegium Serafickim w Radecku. W 1924 r. wszedł do zarządu prowincji. W latach 1926–1929 pracował jako misjonarz w Harbinie w Mandżurii. Był rektorem niższego seminarium oraz uczył w gimnazjum dziewczęta. W latach 1929–1930 ponownie podjął nauczanie w kolegium Serafickim w Radecku. W 1930 r. ponownie wszedł do zarządu prowincji. W tym samym roku zrezygnował z urzędu definitora i wyruszył na misję do Japonii. W Sapporo uczył się miejscowego języka. W 1932 r. udał się na Sachalin. Pracował w Toyohara, następnie w Maoka. W latach 1937–1939 był przełożonym misji. W 1940 r. udał się do Chin i podjął pracę w Szanghaju. W 1940 r. udał się do Stanów Zjednoczonych. Pracował wśród Polonii w latach 1940–1942 w Pulaski, w latach 1942–1949 w Cedar Lake, w latach 1949–1951 w Grand Rapids, w latach 1951–1977 w Lake Geneva. W 1951 r. otrzymał obywatelstwo amerykańskie. W latach 1977–1987 osiadł w Pulaski. Ostatnie dwa lata życia spędził w infirmerii prowincjalnej w Manitowoc. Zmarł na zawał serca 5 sierpnia 1989 r. w Manitowoc. – J. Borowski, *Gimnazjum i liceum franciszkanów-bernardynów w Radecku, 1920–1950*, Stalowa Wola 2015, s. 67, 142, 144, 191, 340, 363; K. J. Grudziński, A. K. Sitnik, *Bernardyni w służbie Ojczyzny*, s. 278, 299; R. Jusiak, *Sanktuarium św. Antoniego w Radecku – w kontekście środowiska lokalnego*, Kalwaria Zebrzydowska 2013, s. 92, 94; J. Kachel, *Bernardyni, 1453–2003*, cz. 6, Warta 2004, s. 91; W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 48, 51–53, 60–61, 66–67, 74–75, 77–78, 80, 87, 91, 96–97, 136, 142, 144, 146–147, 150–151, 153, 169, 172; H. E. Wyczawski, *Bernardyni polscy*, t. 3, s. 17, 340, 405, 406; tenże, *Bernardyni poza swymi klasztorami w XX wieku*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce*, s. 499, 500; A. Chadam, *Harbin*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce*, s. 467–470; tenże, *Toyohara*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce*, s. 477, 479; K. Kantak, *Bernardyni polscy*, t. 2, Lwów 1933, s. 583; K. Grudziński, *Wilczyński*, w: *Słownik polskich pisarzy franciszkańskich*, red. H. E. Wyczawski, Warszawa 1981, s. 518–519; *Schematismus totius Ordinis Fratrum Minorum*, Quaracchi-Firenze 1938, s. 927; APBK rkps VI-c-6, *Liber novitiatus FF. Minorum in conventu Leżajscensi*, 1897–1929, s. 75–76; rkps X-19, *Spis uczniów Kolegium Serafickiego OO. Bernardynów w Radecku, 1922–1950*, s. 214; rkps RGP-k-78, *Teki Cz. Bogdalskiego*, t. 61, k. 137.

w Mandżurii, o. Piotr Wilk-Witosławski⁶ oraz br. Zachariasz Banaś⁷, były misjonarze w Mandżurii. W ekipie drugiej w roku 1932 wyjechał o. Stanisław Mucha⁸ i o. Władysław Przybysz⁹, którzy przeszli kurs przygotowawczy do misyjnej pracy w Kolegium Międzynarodowym w Rzymie. Pierwsza i druga ekipa najpierw udała się do Sapporo do Ojców naszej bratniej Prowincji z Fuldy, gdzie wszyscy uczyli się języka, by po przybyciu na Sachalin zaraz zabrać się do pracy. W 1934 roku wyjechali oo. Maksymilian Hanf¹⁰ i Pius Lewandowski¹¹. W roku 1936 wyjechał z Polski o. Rafał Krukowski¹² i o. Bazyli Oleksa¹³. Obydwaj również po Kolegium Międzynarodowym w Rzymie. Wreszcie w 1937 roku wyjechał z Polski o. Feliks Herman¹⁴, który do naszego Zakonu wstąpił jako starszy już kapłan z diecezji katowickiej. Ja wyjechałem jako ostatni misjonarz tuż przed wojną w roku 1939. Moją historię jeszcze zostawię, gdyż chcę podać krótko przebieg tego, co działo się na Sachalinie do czasu mojego przyjazdu.

Mówi nam przysłowie greckie, że początek – to połowa wszystkiego. Zdajemy sobie jednak sprawę, że wszystkie początki są zazwyczaj bardzo bolesne. Również i nasza placówka misyjna przechodziła wiele, wiele niepowodzeń. Przykro mówić o niektórych sprawach, ale bodaj troszeczkę poruszyć je trzeba, gdyż wielu z naszej prowincji zna niejedną sprawę bardzo powierzchownie albo wcale i często krzywdzi niewinnych, a winnych wynosi pod niebiosa. Nie chcę być stronnikiem. Gdy więc ktoś te słowa czytać będzie, niech mnie dobrze rozumie.

Była już bowiem spora grupa misjonarzy. Gdy już powiedzmy dostatecznie opanowali wszyscy język, praca zapowiadała się świetnie. Byli tu przecież ludzie zapaleni gorliwością, byli także i inni... Niewątpliwie każdy miał wielkie zasoby umysłu i serca, ale to polskie serce było u niektórych zamknięte dla najbliższego otoczenia, a pełne dziwnych ambicji, aspiracji, zazdrości i wywyższenia się, co jest zresztą wadą u Polaków za granicą.

⁶ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 154.

⁷ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 137.

⁸ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 144.

⁹ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 149.

¹⁰ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 138.

¹¹ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 143.

¹² W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 142.

¹³ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 136.

¹⁴ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 139.

Ludzkie więc ambicje wzięły górę nad chwałą Bożą. Zaczęły się kwasy i antagonizmy, i w takiej sytuacji niejeden się załamuje, innych męczy nauka języka, bo długo trzeba się uczyć języka japońskiego, innych męczy sposób pracy no i choroba – zwana nostalgią.

Tak po sześciu miesiącach powrócił o. Piotr Witosławski, który ucząc się języka, jeszcze nie zaczął pracować i Sachalinu nawet z daleka nie widział, a w kazaniach podkreślał, że w Japonii pracował sześć lat.

Z powodu braku zrozumienia zniechęcony powrócił do Polski o. Władysław Przybysz. Jego współtowarzysz i kolega kursowy o. Stanisław Mucha po nieudanej operacji w szpitalu w Sapporo przedwcześnie zmarł, licząc 27-ty rok życia.

O. Maksymilian Hanf męczony nostalgią powrócił do ojczyzny. Najstarszy pracą misyjną o. Gerard Piotrowski zniechęcony nieporozumieniami udał się z powrotem do ukochanych przez siebie Chin i tam został prokuratorem generalnym na Daleki Wschód. O. Bazyli Oleksa, zatraciwszy poczucie obowiązku, naraził Misję i Prowincję na wielki wstyd i ogromne wydatki, podróżując bez żadnego pozwolenia po „całym świecie”... Tak to w roku 1938 została ze sporej grupy tylko malutka trzódka misjonarzy w osobach: o. Paulina Wilczyńskiego, Piusa Lewandowskiego, Rafała Krukowskiego i Feliksa Hermana oraz br. Zachariasza Banasia.

Zeszczuplała wprawdzie liczba misjonarzy, ale nie zmalały ich serca pełne zapachu i poświęcenia, które usiłowały dwoić się i troić, aby wyrównać powstałe braki. W tym właśnie roku, tj. 1938 miasto Toyohara zostało podniesione do rangi większych miast w Japonii i z tego powodu obchodzono przez trzy dni wielkie uroczystości.

Ojcowie pracujący w tym mieście zostali też zaproszeni do wielkiej sali przyjęć, gdzie uczestniczyli w akademii, jak również w uroczystym przyjęciu. Ciekawe to, że chociaż w Toyohara było siedem wyznań chrześcijańskich, jednak jedynie naszych Ojców zaproszono na te imprezy. Widać, że i władze cywilne z wyznań chrześcijańskich jedynie katolicyzm respektują. Wielkim wyróżnieniem dla naszych Ojców było między innymi wręczenie nagrody za prowadzenie bardzo wzorowe ochrony dla dzieci pogańskich w Toyohara.

Miasto Toyohara zostało podniesione do rangi większych miast, w związku z tym rozbierano budynki parterowe, ulice rozszerzano, budowano mieszkania piętrowe. Tymczasem kościółek i budynki misyjne, budowane jeszcze przez O. Angelusa Kowarza w roku 1912 też zapadały się w ziemię, że nawet psy z ulicy zaglądały przez okno do mieszkań ojców misjonarzy /wiem to z opowiadań o. Paulina/. To

też w uroczystym roku dla miasta Toyohara, ojcowie pomyśleli o nowym kościele i o jakiejś możliwej rezydencji dla misjonarzy. Zaczęto budować kościół i potrzebne z tym budynki, jak sale parafialne, katechetyczne, no i mieszkania dla pracowników wraz z pokojami gościnnymi, bo przecież spodziewano się, że Toyohara jako centrum władzy cywilnej będzie także i centrum władzy kościelnej na Sachalinie...

Z opowiadań o Paulina Wilczyńskiego, który nigdy nie był entuzjastą sądzę, że największy wkład w budowę nowego kościoła i obejścia misyjnego włożył o. Pius Lewandowski, który nie żałował sił i możliwości swoich, myślę nie tylko o możliwościach moralnych i materialnych, które czerpał z oddanych sobie wiernych, ale także i o jego możliwościach fizycznych, bo i sam pracował, by jak najwcześniej powstał przybytek należny Panu, na którego niwie wszyscy tam będący pracowali.

W tym czasie niezmierna radość spotkała tak naszą Misję, jak i Prowincję. Stolica Apostolska patrzyła na naszą małą liczbę pracowników misyjnych, gorliwych, zapalonych, nie zniechęconych niepowodzeniami, doceniała ich pracę i poświęcenie. To też darzyła naszą placówkę przedobrym swoim sercem i wielką łaskawością. Dowodem tej łaskawości jest dekret Stolicy Apostolskiej wydany dnia 5. VI. 1938 roku, mocą którego Stolica Apostolska podnosi naszą placówkę misyjną do godności PREFEKTURY APOSTOLSKIEJ z własnym ordynariuszem. Tego też dnia został mianowany pierwszym Prefektem Apostolskim o. Feliks /Faustyn/ Herman, były wikariusz przy katedrze katowickiej. Do zakonu naszego wstąpił w 16-tym roku kapłaństwa w 1930 roku. Placówka nasza „niezależna” została także wyłączona jurysdykcyjnie z Wikariatu Apostolskiego „de Sapporo”.

W tym przełomowym dla naszej placówki roku /1938/ otrzymałem święcenia kapłańskie w kościele seminaryjnym we Lwowie.

Jak każdy z kapłanów – tak i ja przeżyłem dzień święceń bardzo głęboko. Głęboko i może radośniej od innych, bo przecież po święceniach miałem pojechać na pracę misyjną. Jak i kiedy zrodziło się u mnie powołanie misyjne, trudno mi powiedzieć. Być może, że powołanie powstało z pobudek czysto naturalnych. Mianowicie, gdy jako uczeń gimnazjalny słuchałem opowiadań i zachęcania do tej pracy, a przemawiał do nas O. Agnellus Kowarz, który przez 18 lat sam jeden pracował na Karafuto /Sachalinie/. Po tylu latach przyjechał on do Polski, by odwiedzić swoją rodzinę i kolegów – współbraci zakonnych. Ta skromna postać franciszkanina – Misjonarza była wprost porywająca, olśniona gorliwością głoszenia Ewangelii. To tak mi się zdaje były początki mojego powołania. Po wstąpieniu do zakonu modliłem się o sprecyzowanie i ugruntowanie mojego powołania. Interesowały

mnie żywo wszystkie sprawy związane z pracą misyjną, rozczytywałem się w tej dziedzinie i zgłosiłem się jako aspirant na misjonarza. Wychowawcy i przełożeni, i w ogóle władze zakonne – wszyscy podtrzymywali mnie w tym zamiarze.

To też po otrzymaniu święceń kapłańskich zdawało mi się, że jestem u kresu moich pragnień i zamiarów. W krótkim czasie pojadę, by powiększyć liczbę pracowników na Karafuto i szerzyć, i podpierać Królestwo Chrystusowe. Tak też i na obrazkach prymicyjnych dałem sobie wydrukować myśl wówczas zrodzoną w moim umyśle i sercu: „Cały mi się oddałeś o Jezu, spraw teraz, abym Ciebie mógł dać tym, którzy Cię jeszcze nie znają”. Te słowa wzięłem sobie wtedy, jako dewizę całego mojego życia. I tak po wakacjach miałem wyjechać do Japonii.

Aż tu przychodzi wiadomość z Rzymu od Najprzewielebniejszego o. Generała o. Leonarda Maria Bello, że muszę najpierw przejść kurs roczny – misyjny celem lepszego przygotowania się do pracy. Zasmuciła mnie ta wiadomość, ale musiałem pogodzić się z wolą nieba i ziemi, i pojechałem. Nie żałuję teraz tego, bo wiele skorzystałem w naszym Międzynarodowym Kolegium Antoniańskim, a po wtóre na pewno nie miałbym okazji widzieć Rzymu i zwiedzić Włoch. Wyniosłem z pobytu w Rzymie jak najmiłsze wspomnienie, a ani jednej przykrej chwili.

Ale Misja nasza na Karafucie pracowała z niesłychanym wysiłkiem z powodu braku kapłanów, więc ojcowie alarmowali N. O. Generała, bym najprędzej przyjeżdżał do pracy. Musiałem zatem swoje studia ograniczyć do minimum, pracę oddać w pierwszych dniach lutego i zdać egzaminy w przyspieszonym tempie. Wszystkiemu jakoś Bóg błogosławił, prywatnie ucząc się, pozdawałem wszystkie przedmioty i za pozwoleniem N.O. Generała przyjechałem do Polski, by pożegnać się z rodziną i ze współbraćmi w Prowincji.

Po załatwieniu formalności związanych z moim wyjazdem, nadszedł dzień pożegnania. Było to 5 marca 1939 roku. Dzień ten był cudownie rozśłoneczniony, prawdziwie wiosenny. I we mnie również rozgościła się radosna wiosna. Kościół nasz ogromny był wypełniony wiernymi, licznie zgromadziła się nasza parafia na pożegnanie, były wszystkie organizacje.

Ale przede wszystkim rozczulające było pożegnanie ze współbraćmi zakonnymi klasztoru lwowskiego. Rzewnych ceremonii dokonał N.O. Prowincjał Metody Sikora. Wygłosił przy tej okazji podniosłe przemówienie, nakreślając obraz apostołskiej troski Kościoła o zbawienie niewiernych. Ojcowskimi słowami zachęcał mnie do odpowiedzialnej i ciężkiej, a bardzo chlubnej pracy, wyrażając mi pełne uznanie dla poświęcenia, które podejmuję ofiarnie i chętnie.

Wprost po pożegnaniu w kościele o. Prowincjał wraz z o. Apolinarym Wywroczkim odwiedzili mnie na dworzec do pociągu pospiesznego zdążającego do Rzymu. Udałem się tam, by załatwić ostatnie już formalności związane z moją podróżą i otrzymać błogosławieństwo na drogę od N.O. Generała. Nawiasem wspomnę, że było ono bardzo serdeczne, ojcowskie, a przy tym nie tylko popłynęło ono z serca O. Generała do serca mojego, ale i z Jego hojnych rąk do bardzo ubogich rąk moich. Tutaj też spotkałem się z moimi kolegami, będącymi na studiach na naszym uniwersytecie św. Antoniego. Miło mi było w ich gronie, bo zżyliśmy się ze sobą w czasie mego pobytu w Rzymie na kursie misyjnym. Również i oni się ucieszyli, że znowu spotkaliśmy się i przed odjazdem urządzili mi uroczyste koleżeńskie pożegnanie, w którym udział wzięli także ojcowie z innych krajów.

W nocy z 8-go na 9-go marca wyjechałem z Wiecznego Miasta żegnany jeszcze raz na stacji przez ukochanych współbraci zakonnych, a na dworzec przybyło ich pełne dwa tramwaje. Przed południem przybyłem do portowego miasta Brindisi, gdzie mam wsiąść na okręt „Conte Verde”. Do odjazdu okrętu mam jeszcze 7 godzin czasu, wobec tego zwiedziłem miasto i udałem się na krótki wypoczynek do naszego klasztoru. Nad wieczorem byłem już w porcie i po odbytej rewizji paszportu i walizek czekam niecierpliwie przybycia okrętu. Wreszcie zbliża się „Conte Verde” rzęście oświetlony, na pokładzie pełno pasażerów. Staął... Niektórzy pasażerowie wysiadają. Kolej na nas. Bagażowi wnoszą walizy, my powoli wступujemy.

Pierwszy raz mam jechać okrętem, to też nie dziwne, że lęk mnie ogarnia przed tak daleką podróżą. Wspomniawszy jednak na to, że w Polsce z wielu serc płynie modlitwa do Boga o szczęśliwą dla mnie drogę, śmiało wsiadam na okręt.

Pierwszą osobą, którą prócz kontroli okrętowej spotykam, to kapelan okrętu. Zaprowadził mnie zaraz do mojej kabiny, w której było już dwóch misjonarzy Włochów /o. Pius – dominikanin i o. Alfons – lazarysta/. Pierwszy z nich udaje się do Indii, drugi po urlopie wraca do Chin. Zapoznaliśmy się szybko i dobrze nam było razem, bo przecież jeden łączy nas cel.

Wkrótce zjawił się powtórnie ks. kapelan i ułożyliśmy kolejność odprawiania Mszy św. Nawiasem wspomnę, że od przeszło dwóch lat wszystkie włoskie okręty dalekobieżne mają kapelana i stałą kaplicę, w której nawet jest przechowywany Najśw. Sakrament. Jest to ogromna wygoda dla podróżujących kapłanów. Zwiedziwszy powierzchownie statek, udałem się na spoczynek, gdyż mając tego dnia dużo wrażeń byłem zmęczony. W nocy często się budziłem, morze bowiem było

niespokojne i statek się bardzo kołysał, od czasu do czasu fale uderzały w okno kabiny. Przez tę noc i cały następny dzień odczuwałem zawroty głowy i mdłości. Jak się później dowiedziałem były to prawie normalne fale Morza Śródziemnego. W sobotę 11 marca czułem się już zupełnie dobrze, to też postanowiłem zbliżyć się trochę do ludzi, by zorientować się, jaki element przeważa na okręcie. I otóż na blisko 2000 pasażerów – większość to Żydzi, uchodźcy, względnie wygnańcy z Berlina i Wiednia, którzy udają się do Bombaju i Shanghaju szukać chleba. Wielu z nich podaje się za Polaków.

W nocy około godziny 24-tej zbliżamy się do portu Said. Miasto i port ślicznie iluminowane wywiera na nas wielkie wrażenie. Statek nie może dobić do samego brzegu, wobec czego szybko zbudowano na łódkach pomost i w ten sposób połączono nas z lądem. Wokół okrętu na małych łódkach uwijają się handlarze wrzeszcząc w niebogłose, by kupować u nich pamiątki, czekoladę i inne rzeczy. Sprzedawali też widokówki pornograficzne. Wielu pasażerów wysiadło udając się do miasta – poszedłem i ja za nimi. Aczkolwiek głęboka noc wszystkie sklepy były pootwierane i mnóstwo rzeczy można było tam bardzo tanio kupić, ale to co widziałem, dla mnie nie było potrzebne.

Wracam na pokład, bo o godzinie 3-ej ruszamy dalej. Przy brzegu na łódce spotykam małego chłopczyka, który tak rzewnie prosił, by coś kupić u niego. Złakomilem się na wielki karton „czekolady” za trzy włoskie liry – na drugi dzień przekonałem się, że więcej w tym było papieru niż czekolady.

Pierwsza niedziela na statku. Na ogół niczym się niedziela nie różni od dni powszednich. My misjonarze odprawialiśmy Msze święte w zwykłym czasie, tj. od godziny 6.30 do 8-mej. O godzinie 10-tej ks. kapelan odprawił Mszę św. nie w kaplicy, ale w wielkim salonie 1-szej klasy. Podczas Mszy św. pianissimo przygrywała orkiestra okrętowa, która codziennie w pewnych ustalonych godzinach grała dla pasażerów w tymże salonie. Wiernych na Mszy św. było dosyć dużo, chociaż zdaje mi się, że nie wszyscy. Po Ewangelii wygłosił ks. kapelan krótkie kazanie po włosku. Mówił o wielkich zasługach św. papieża Piusa XI, a następnie powiedział parę słów o obecnym Ojcu Świętym z okazji Jego koronacji. Po Mszy św. zjeżdżam windą na pomost, gdzie mieści się moja kabina i w czasie jazdy tuż przy mnie słyszę, że jakaś pani mówi po polsku do swego dziecka. Zaraz się jej przedstawiłem jako rodak i dowiedziałem się, że to pani Staniszevska, która wraz z mężem i 3-letnim synkiem udaje się do Tokyo, gdyż jej mąż Karol otrzymał posadę w ambasadzie jako sekretarz. Tym spotkaniem bardzo się ucieszyłem.

Po obiedzie wyszedłem na pokład, by obserwować wybrzeże kanału sueskiego. Okręt posuwa się bardzo wolno i co chwilę dotyka dna, gdyż kanał w niektórych miejscach jest bardzo płytki.

I oto znajdujemy się między dwoma częściami świata: Afryką i Azją. Po stronie Azji nie widać zupełnie życia. Jak daleko sięga oko widać tylko piaski. Natomiast po stronie Afryki widać tu i ówdzie małe, biedne osady i wegetujące życie. Obserwuję Żydów... Prawie każdy ze łzą w oku patrzy w stronę Palestyny, a gdyśmy mijali górę Synai, nieomal wszyscy posyłali ręką pocałunki w ową stronę.

Mijamy port Suez nie zatrzymując się, i oto kończy się kanał sueski – wyjeżdżamy na Morze Czerwone. Za dwa dni mamy stanąć w porcie Massawa. Z dnia na dzień odczuwa się coraz bardziej upały południa.

Wezwano nas wszystkich przed lekarza okrętu i musieliśmy poddać się szczepieniu przeciw cholerze. Mamy być szczepieni podobno jeszcze trzy razy. Dnia 14 marca około godziny 20-tej stanęliśmy w porcie Massawa. Wnet na okręcie pojawiają się zwinni Abisyńczycy. Kolor ich skóry ciemno-brązowo-czarny. Wszyscy chodzą zupełnie boso. Na piętach można u nich zauważyć zgrubiałą twardą skórę, podobno boso im najwygodniej wspinać się po wysokich, skalistych, ostrych stokach gór i to bardzo szybko i zwinnie.

Stanęliśmy tu na parę godzin i ruszyliśmy dalej. Na drugi dzień około godziny 21-ej stanęliśmy w porcie arabskim Aden.

W Aden nie wypuszczano pasażerów na ląd. Natomiast całe mnóstwo Arabów zjawiało się na okręcie lub też uwijali na łódkach wokół okrętu. Podziwialiśmy wszyscy ich zgrabność, kiedy przeskakiwali z łódki na łódkę. Wielu z nich weszło na pokład statku, by sprzedawać czasopisma, kartki, papierosy i inne drobiazgi. Późno w nocy można było widzieć Arabów siedzących na swych łodziach wokół okrętu, z których jedni spali, inni czuwali nucąc przy tym dziwne, arabskie monotonne pieśni. Nad ranem około 4-tej godziny okręt ruszył dalej. Płyniemy wprost do Indii do Bombaju.

Cudne tu były zachody słońca. W czasie zachodu chmurki otaczające ogromną czerwoną kulę zniżającego się słońca wyglądały jak różnobarwne kwitnące krzewy, a słońce szybko zbliżało się do horyzontu oceanu, jakby chciało się jak najprędzej pożegnać z wodą. Gdy tylko dotknęło horyzontu, momentalnie zapadało się i następowała zupełna ciemność. Ocean jest przez cały czas spokojniutki.

Naszym statkiem jedzie także 5-ciu misjonarzy protestanckich. Żal nam, że ich aż pięciu na jedną wyspę, a nas tylko trzech i to każdy do innego kraju. Z nami na

ogół nie przystają. Jeden tylko, gdy się upije, a zdarza się mu to prawie codziennie, przychodzi do naszej kabiny, by prowadzić dysputy. Ponieważ rozmowa z nim się nie klei, pokazujemy mu drzwi i mamy spokój.

Ciekawy jest także żywioł z naszych współtowarzyszy jazdy Żydów. Wspominałem już wyżej, że wielu z nich zna język polski, inni włoski, więc większość z nich szukała naszego towarzystwa, czy to w salonie, czy w jadalni lub na pokładzie. A mieli w tym pewne wyrachowanie, jak się okazało. Mianowicie prosili, by wstać się za nimi u kapitana okrętu, aby im przydzielił wolną kabinę, gdzie mogliby schodzić się na swoje modlitwy lub też w wolnych chwilach od nabożeństw pozwolił im gromadzić się w kaplicy okrętowej. „Przecież czcimy tego samego Boga – mówią – a za to będziemy się specjalnie za księży modlić”.

Gdy jeszcze przebywałem w Rzymie, z Japonii pisał do mnie o. Paulin Wilczyński, że gdybym miał okazję jadąc na misje, to radzi spotkać się w Bombaju z państwem Banasińskim, którzy dawniej pracowali w Konsulacie Polskim w Japonii. Wysłałem zatem telegram z okrętu, kiedy będę w porcie i że chcę zwiedzić Bombay.

19 marca, uroczystość św. Józefa i zarazem druga moja niedziela na okręcie. Rychło rano ks. kapelan odprawił Mszę św. dla marynarzy i służby okrętowej. Budujące to było, gdy wszyscy uczestniczyli we Mszy św. z książeczkami w rękach, recytując pewne części Mszy św. wraz z kapłanem.

Ja odprawiłem Mszę św. dla pasażerów o godzinie 10-tej w wielkim salonie. Była to jakby Msza św. uroczysta, więc odprawiałem ją o św. Józefie /a nie z niedzieli/ i aczkolwiek była cicha i bez asysty, to w czasie Mszy św. używałem kadzidła, korzystając z przywileju misjonarzy. Po Mszy św. o. Pius dominikanin, wygłosił krótkie kazanie we włoskim języku o św. Józefie.

Na drugi dzień wczesnie rano okręt stanął w Bombaju. Ponieważ mamy stać aż do wieczora, postanowiłem jak najprędzej wysiąść na ląd i przyglądać się wschodniemu miastu. Nagle słyszę przez tubę ogłoszenie w języku włoskim, by ksiądz jadący z Polski do Japonii stawiał się natychmiast przy schodach łączących okręt z lądem. Pobiegłem... Przyjechał po mnie sekretarz konsulatu, którego przysłali państwo Banasińscy. Udałem się więc z nim zabierając ze sobą państwo Staniszewskich do Polskiego Konsulatu, który w porze gorącej mieści się w willi poza miastem w lesie bambusowym. Pan sekretarz po drodze z uśmiechem mówi do nas, byśmy się nie dziwili, widząc nazwę tejże willi, bo brzmi ona w języku indyjskim „kurwa”, co w przetłumaczeniu oznacza „Piękna”. Państwo Banasińscy nas bardzo gościnnie przyjmowali i w ich towarzystwie, wielkim wozem zwiedziliśmy miasto.

Ale zanim to nastąpiło, p. Banasińska powiedziała, że trudno będzie mi w czarnym garniturze wytrzymać upał, więc sama wzięła miarę i posłała jednego ze służących po biały garnitur, który mi podarowała.

Cały dzień jeździliśmy autem, gdyż tutaj Europejczykowi nie wypada jeździć ani tramwajem ani dorożką konną. Zwiedziliśmy najpierw dzielnicę europejską, która nie różni się od naszych europejskich większych miast – jest wspaniała...

Poza tą dzielnicą miasto Bombay – to ciekawe miasto, dziwne jakieś wywiera wrażenie, w ogóle tchnie wschodem, chociaż jeszcze wschodu nie znam. W tych dzielnicach po obu stronach ulicy ciągną się wysokie, śliczne budowane kamienice, a tuż obok nich stoją niskie, niesympatyczne chatki niższych kast indyjskich. Ciekawe, że przy domach, w sklepach, przed domami widać sennych tylko mężczyzn, a kobiety zajęte są przy pracach cięższych, jak noszeniem cegły, kamieni i wody przy budowie domków i ulic. Ludzi na ulicach uwija się mnóstwo, a wszyscy w bardzo barwnych strojach.

Warto widzieć w Bombayu tzw. bazy, czyli targi. Są to specjalne dziedzińce, gdzie sprzedaje się owoce, w innych znowu kwiaty, różnego rodzaju materiały, zabawki itp. rzeczy. Mnóstwo rzeczy tu można kupić bardzo tanio, w przeliczeniu na nasze pieniądze przynajmniej trzy razy taniej niż u nas. Kupcy po prostu pchali nam do rąk nachalnie swoje towary, ale p. Banasińska poskramiała ich świetnie w ich własnym języku, który bardzo dobrze opanowała i wspaniale nim włada.

Udaliśmy się jeszcze raz do willi Konsulatu Polskiego, by spożyć obiad na sposób indyjski. Co tam było trudno mi opisać, w każdym razie pokarmy, o których się tylko czasem czytało w powieściach egzotycznych. W czasie obiadu opowiedano nam o zwyczajach tam panujących, a zwłaszcza o służbie domowej itp. Są tam jeszcze różne kasty ludzi, a więc i jednego człowieka nie można używać do rozmaitych posług. Z innej kasty będzie kucharz, z innej ten, który przynosi do stołu potrawy, z innej ten, który usługuje przy stole, inny ten, który sprząta, inny zmywający, inny psy karmiący itd.

Około godziny 18-tej byliśmy już na pokładzie statku, a po godzinie ruszyliśmy dalej w kierunku Cejlonu do portu Colombo. Długi czas posuwamy się brzegiem. Wybrzeże jest górzyste, morze lekko falujące, podrzucając tu i ówdzie łódki z rybakami. Im dalej się posuwamy, tym bardziej daje się odczuwać upał i duszność. Wiatru bowiem prawie wcale nie ma, powietrze gorące, przesycone wilgocią. W kabinie wiatraki będące stale w ruchu nie pomagają – ciężko oddychać. I mój biały garnitur w czasie dnia również nie wiele mi pomógł, to też z zazdrością

patrzyłem na Indianki, które wsiadały na okręt w Bombaju, jadąc do Colombo lub do Singapur. Były to niewiasty młodsze i starsze, a wszystkie ubrane jednakowo w długich welonach zwisających z ramion, to znowu owijających ich piersi i pas, i znowu zwisających z ramion. Przechadzały się z wielką powagą i skromnością, co bardzo im było do twarzy. Nie wiem, czy się tego domyślają, ale porównując je z najpiękniej ubranymi niewiastami w Europie, wyglądają jak królowny z bajki. Tylko złotych pierścieni jest tu może za wiele, bo na każdym palcu po kilka, nie licząc jeszcze złotych naszyjników i mnóstwo bransolet. Wszystkie są katoliczkami i codziennie bywają na wszystkich kolejnych Mszach św. i u Komunii św. One naprawdę się modliły...

Posuwając się dalej w stronę Colombo wśród upału i duszności widzimy jakby spod okrętu zrywające się całe stada „fruwających” ryb. Nie są one zbyt duże, wyglądają z pokładu okrętu jak dorosłe karpie. Unoszą się nad wodą do wysokości metra, a fruwają około 30 metrów. Za okrętem i z boku płyną także rekiny w dość wielkiej gromadzie. Marynarze twierdzą, że mają one długości od 5 do 6 metrów. Straszne to robi wrażenie, gdy nie znajdują odpadów żywności, biją ogonami w boki okrętu, naturalnie bez żadnej szkody.

Wieczorem 22 marca zbliżamy się do Cejlonu. Cudny wjazd do portu, rzucane światła w górę przepięknie odbijają się w wodzie. Gdy tylko okręt zatrzymał się, zaraz zjawiała się policja, by pasażerom chcącym zwiedzić miasto przejrzeć paszporty i dać przepustki. Wielu z pasażerów udało się zwiedzić miasto już tego wieczoru aż do późnej nocy, ja postanowiłem na to poświęcić 12 godzin w dniu jutrzejszym. Wiedząc, że na Cejlonie pracują Polacy oo. Oblaci chciałem się bodaj z kimkolwiek z nich spotkać.

Rano po Mszy św. wyszedłem na pomost. Colombo od strony morza nie zbyt korzystnie się przedstawia. Wybrzeże morskie jest tu niskie i płaskie, po prawej stronie wznosi się olbrzymia tama, chroniąca port przed rozhukanymi falami oceanu. Fabryki okrętowe i szereg domów o bardzo skromnej powierzchowności oraz kilka budynków stawianych na sposób europejski – oto obraz, jaki w tej chwili jest przed moimi oczyma. Spojrzawszy jednak na prawo, ujrzałem ciągnący się w nieskończoność jakiś las, jak się później dowiedziałem jest on kokosowy i wśród tych smukłych drzew jawią się wieże jakby dwóch kościołów. Wokół naszego okrętu widać długie, ale wąskie łodzie, na których ludzie siedzą jak na koniu, mając nogi w wodzie. Łodzie te naładowane były kokosami, bananami, ananasami i innymi owocami południowymi. Miasto jest oddalone od portu około 4 kilometry.

Mogłem dostać się do miasta jakimś środkiem lokomocji, ale wybrałem dla mnie atrakcyjny pojazd, mianowicie rykszę. Jest to lekki, dwukołowy wózek, bardzo wygodny, ciągnie go człowiek. Wsiadając rzuciłem słowa: Kościół katolicki – i ręką wskazałem w stronę miasta. Musiałem mieć dość głupią minę, bo mój „ciągnik” uśmiechnął się i ruszył biegiem. Upał był niezmierny – człowiek ten miał tylko opaskę od bioder, która sięgała blisko kolan i biegnąc pocił się. Zapach od niego szedł gorszy niż od spoconego konia, prawie że w oczy szczypał. Tak to ludzie szukają sobie sposobu, by zapracować na chleb. Żał mi bardzo było tego człowieka. Zajechaliśmy przed nieduży kościółek. Na migi wskazałem mu, by poczekał, a ja poszedłem do mieszkania ojców Oblatów. Wyszedł młody oblat, przedstawiłem mu się w języku łacińskim, ale on wołał francuski – niech i tak będzie. Okazało się, że na Ceylonie są polscy oblaci, a w Colombo jest tylko jeden brat i to przy katedrze. Podziękowałem więc młodemu ojcu za proponowane mi śniadanie, a prosiłem go, by wymienił mi dolary na ich pieniądze i że czeka ryksza na mnie, niech będzie łaskawy polecić „woźnicy”, by mnie zawiózł do katedry. Wymienił pieniądze i objaśnił mnie, po ile każda moneta ma, a w drodze przyglądając się, już wszystko zapomniałem, ale jakoś opłaciłem pojazd i powiedziałem sobie, że więcej już nie będę podróżował rykszą, bo żał mi człowieka.

Ksiądz biskup oblat z sześcioma kapłanami przywitani mnie na werandzie, wszyscy francuzi. Podano mi śniadanie i w międzyczasie poproszono brata polaka, by mnie obwioził po Colombo i ma do dyspozycji wóz aż do mojego odjazdu. Z wielką radością brat w białej sutannie z krzyżem za pas założonym pokazywał mi osobliwości miasta.

Wstąpiliśmy do jednego domu – tu mieszka Polak – objaśnia mnie brat – żona jego to hinduska, ma czworo dzieci z nią, ale dzieci po polsku nie uczy. Jest to bardzo dobry człowiek – na pewno ucieszy się niespodziewaną wizytą. Tak było rzeczywiście. Przyjął nas ten człowiek gościnnie obiadem tak, że nie pojechaliśmy na obiad do rezydencji ks. biskupa, a potem dalej zwiedzaliśmy miasto i okolice.

Brat, pokazując mi precudną zieleni, mówi – tak mamy cały czas, nawet czasem tęskni się za naszym śniegiem. Nad wieczorem odwioził mnie do portu i późno już było, gdy okręt ruszył z Colombo w stronę Singapour.

Przez dwie i pół doby jechaliśmy do Singapour. Przez cały czas morze było bardzo spokojne i jak przedtem tak i teraz wlokły się za okrętem stada rekinów i raz po raz jakby spod okrętu ulatywały gromady „fruwających” ryb. Upał był wprost nie do zniesienia i nie dziwne to, bo przecież jesteśmy prawie na równiku. Wielu

z pasażerów wchodziło do wanien i nie opuszczali ich przez długi czas, ale to na upał wcale nie pomagało.

Rano dnia 26 marca dojechaliśmy do portu Singapour. Można było znowu wysiąść, zwiedzić miasto aż do godziny 18-tej. Państwo Staniszewscy tym razem poprosili mnie, najęli taksówkę i udaliśmy się do miasta.

Osobliwości wprawdzie nie oglądaliśmy, zbyt bowiem było gorąco. Kierowca zawiózł nas do parku. Dużo było tu ludzi i wszyscy bawili się małpkami. Gdy usiedliśmy na ławce, kilka małpek przybiegło do nas, siedziały nam na ramionach, tuliły się do szyi, ręce lizały, jakby prosiły o słodczy. Co mieliśmy, daliśmy im. Ja jednak, chociaż nie bałem się ich, nie miałem odwagi bawić się z nimi, a nawet czułem wielki wstręt do nich i czekałem, kiedy moi towarzysze zechcą opuścić park i doczekałem się, już nie chciałem niczego więcej widzieć, tylko najprędzej wrócić do portu. Nie mam ochoty pisać o wpływach angielskich i amerykańskich w Singapour, bo i po co.

Tego dnia wieczorem, tj. 26 marca wyruszyliśmy w stronę Honkong'u. Podróż do Honkong'u trwała do dnia 30 marca. Powinna trwać krócej, ale przedłużyła ją burza morska, która trwała blisko dwie doby. Po raz pierwszy przeżywałem aż tak silną burzę. Większość pasażerów chorowała. Jeśli chodzi o mnie odczuwałem wprawdzie pewnego rodzaju mdłości, ale nie chorowałem, nawet z jakąś dziwną radością patrzyłem na rozhukany żywioł. Fale wzbijały się w górę w górę od 30 do 40 metrów, tak mnie objaśniał kapelan. W jadalniach więcej było służby niż pasażerów. Dziwne to, jak różni różnie przeżywają taką nawałnicę. Wreszcie nastąpiła cisza, a wraz z nią przyszły okropne mgły. Okręt posuwa się bardzo wolno, wciąż tylko słysząc uderzenia w dzwon ostrzegawczy i syreny.

Dnia 30 marca dojeżdżamy do portu. Był późny wieczór, mało kto wychodził na ląd, bo i czasu było zaledwie 4 godziny. Odczuwamy teraz wszyscy zimno po tamtych upałach. Trzeba było już ubrać się w cieplejsze ubranie. A w drodze z Honkong'u do Shanghaju nawet nie szkodziło wziąć coś zimowego.

Jakoś smutno było w tej podróży. Po wielkich upałach w gorącej strefie było jakieś życie na oceanie, a teraz żadnego nie ma urozmaicenia, a ocean jest lekko wzburzony. Przyszedł dzień 2 kwietnia, była to niedziela palmowa. Nie myślałem, że ją tak będę przeżywał... Przeznaczył ks. kapelan poprzednio postarał się o prawdziwe palmy i odbyło się uroczyste ich poświęcenie. Ten dzień trochę nam urozmaicił drogę tym bardziej, że już na dzień następny mamy stanąć w porcie Shanghai.

Tak też i było. Dnia 3-go kwietnia rano jeszcze odprawiliśmy Msze św. na okręcie, zjedliśmy śniadanie i przygotowaliśmy się do wyjścia na ląd, gdyż okręt „Conte Verde” dalej już nie kursuje.

W Shanghaju jest nasz dom zakonny misyjny, a przy nim tak zwana Prokura Generalna. Ojcowie pracują przy kościele, ponadto jest to dom dla przyjezdnych ojców pracujących na dalekim wschodzie. W domu tym są wszelkie wygodny, by każdy mógł sobie wygodnie odpocząć. Widocznie Kuria Generalna z Rzymu dała znać, że jadę tym okrętem, bo przyjechał po mnie jeden z ojców. Ucieszyłem się, gdyż inaczej trudno byłoby mi samemu coś ze sobą zrobić, a był to czas, kiedy to Japończycy zbombardowali Shanghaj. Wszędzie też jeszcze widać było nieuprzątnięte trupy i co jakieś sto metrów stał policjant japoński.

Dotarliśmy jakoś do Prokury Generalnej szczęśliwie. I tu dowiedziałem się, że mają ojcowie ułatwić mi dalszą drogę.

Po obiedzie pojechałem do Polskiego Konsulatu przedstawić się i zakomunikować, że czekam na okręt do Japonii, a nie wiem, kiedy on będzie. Gdy wszedłem do Konsulatu, po raz pierwszy straciłem głowę w mej podróży i nie mogłem wypowiedzieć żadnego słowa. W biurze bowiem siedział Chińczyk i patrzył na mnie, ja na niego i nie wiem, kto z nas był bardziej zdziwiony. On odezwał się pierwszy piękną polszczyzną: „Czym możemy księdzu służyć?” Opanowałem się i powiedziałem mu cel mego przybycia. Porozmawialiśmy sobie zanim zjawił się p. Barthel konsul. Z rozmowy dowiedziałem się, że Chińczyk jest dawnym wychowankiem naszych ojców, którzy pracowali w Mandżurii i prowadzili szkołę w Harbinie. Po polsku nauczył się bardzo dobrze i pracuje w Konsulacie. Żona jego to Polka z Harbina, mają czworo dzieci i wszystkie mówią bardzo dobrze po polsku i po chińsku.

Konsulat ucieszył się z mojego przybycia, bo przedtem proszono jednego z ojców czarnych franciszkanów z Nagasaki z Japonii, by przyjechał i wygłosił rekolekcje w Shanghaju dla Polaków. Powiedziano mi, że skoro jestem tutaj, to w takim razie telegraficznie odwołają ojca z Nagasaki, a ja wygłoszę rekolekcje. Musiałem tę propozycję przyjąć i od Wielkiej Środy wygłosić rekolekcje. Całe szczęście, że miałem ze sobą książkę z rekolekcjami, bo przecież do tej pory nie głosiłem ich nigdy, bo nie było kiedy i gdzie. Przygotowałem się więc jak mogłem i wygłosiłem im te rekolekcje w kościele przy naszej Prokurze Generalnej, gdyż do tego kościoła uczęszczali Polacy na Msze święte.

W Wielki Piątek wypowiadałem rodaków swoich, a było ich ponad siedemset. W Wielką Sobotę wszyscy byli u Komunii św. w czasie Mszy św., którą ja

odprawiałem. Po obiedzie przynosili pokarmy do poświęcenia, które poświęcałem w zakrystii.

W pierwszy dzień świąt, tj. 9 kwietnia byłem na obiedzie w Konsulacie, a na drugi dzień młodzież polska urządzała sobie zabawę, na której także byłem. Ponieważ nie miałem w dalszym ciągu żadnego okrętu do Japonii, w czasie pobytu mojego proszony byłem przez różne rodziny polskie i odwiedzałem je.

W każdym domu serdeczna była gościna i tak czas schodził bardzo szybko. Jednak chciałem jak najprędzej jechać dalej i z dnia na dzień oczekiwałem wiadomości, kiedy będę mógł pojechać dalej. Wreszcie otrzymałem wiadomość, że będzie do Japonii okręt australijski „Nellore” i mam na nim zarezerwowane dla siebie miejsce.

Nadszedł czas pożegnania gościnnego Shanghaju i w niedzielę, dnia 16 kwietnia odprowadzony przez dwóch ojców misjonarzy wsiadłem na okręt.

Okręt ten w porównaniu z włoskim „Conte Verde” wygląda jak większa łódź. Pasażerów jest niewiele. Statek ruszył w nocy i w dzień widzę, że znowu jestem na pełnym morzu: dokąd oko sięga znowu tylko woda i woda. A na statku początkowo jakoś dziwnie się czułem, bo znowu znalazłem się w zupełnie nowym otoczeniu. Ojcowie kupili mi bilet pierwszej klasy, tylko kapitan okrętu wiedział od nich, że jestem kapłanem. Ojcowie prosili kapitana i mnie, by o tym nikomu nie mówić, abym mógł sobie swobodnie jechać, a Mszę św. odprawiał będę w swojej kabinie.

Wprawdzie na okręcie o towarzystwo nie jest trudno, ale cóż, wszyscy mówili tylko po angielsku, a ja tego języka nie znałem. Jeden tylko z pasażerów mówił po niemiecku, ale on miał swoje grono przyjaciół.

Codziennie rano „boy” /chłopiec służący/ o godzinie 6-tej przychodził pytać się, na którą przygotować kąpiel i przy tej okazji przynosił pierwsze śniadanie, składające się z gorących bułeczek, masła i herbaty. Z samouczka nauczyłem się tych kilka słów najpotrzebniejszych i zawsze dawałem tę samą odpowiedź: na ósmą. Zanim jednak chłopiec przychodził, ja już byłem po Mszy św., pochowałem wszystkie paramenty i leżałem w łóżku udając, że śpię. A potem powoli sobie wstawałem, by wykąpać się, ubrać i pójść do salonu na drugie śniadanie.

Wielu z pasażerów było ciekawych, kim jestem i dokąd jadę. Siedziałem zawsze przy kapitanie, więc on odpowiadał za mnie, że jestem nauczycielem z Polski i jadę do Japonii.

Jak wspominałem – okręt ten był niewielki, to i pasażerów mało, a także nie było orkiestry, która by grała dla podróżnych, jako to było na „Conte Verde”. Natomiast były dwie panie, które w pewnych godzinach grały dla nas w salonie: pianistka

i druga grała na skrzypcach. Ja zaś czasem tylko sam siedziałem zawsze na tym samym foteliku i słuchałem ich wyczynów.

Przy stole w czasie obiadów i kolacji siedzieliśmy naprzeciw siebie. Każdy zamawiał sobie obiad i kolację według karty, i ja też. Jakoś to mi się udawało. Nie mówiłem wprawdzie, ale tylko wskazywałem palcem, co mają mi podać i to się udawało. Aż raz w czasie obiadu nie udało mi się. Zamówiłem sobie bowiem gorące duszone ziemniaki i mrożoną baraninę. Ile wtedy namęczyłem się – trudno mi to opisać. Wreszcie odłożyłem wszystko. Otoczenie mnie zrozumiało. I wtedy skrzypaczka, jak się później dowiedziałem licząca 24 lata – zapytała mnie, czy może znam język francuski, odpowiedziałem, że owszem dam sobie radę. Wtedy zapytała się, czy może coś dla mnie zamówić – odpowiedziałem, że prosiłbym o to samo, co ona dla siebie zamówiła. I tak nawiązała się między nami znajomość w takich okolicznościach. Od tej pory już zawsze byliśmy razem i wierzyła, że jestem nauczycielem, a dla mnie udawanie jest rzeczą bardzo ciężką, bo nie chciałem nigdy kryć się lub wstydzić swojego kapłaństwa.

Rano 20 kwietnia już nam się ukazują w dali wyspy kraju wschodzącego słońca i kwitnących wiśni. Widzimy na nich tylko góry pokryte lasami, a dopiero, gdy podjeżdżamy bliżej, częściowo na stokach górskich, a więcej przy brzegach widać piękne domki tworzące osiedla.

Dowiaduję się, że w Japonii, zwłaszcza na północy jedynie nad morzem spotyka się wioski i miasta, a wielkie przestrzenie wysp nie tylko, że nie są zamieszkałe, ale nawet pokryte są dziewiczymi lasami. A to, że ludność tutejsza osiedla się nad brzegiem – to nic dziwnego, bo podobno ponad 4 miliony Japończyków zajmuje się rybołówstwem. Z połowu ryb Japonia zbiera podobno około półtora miliarda yen /yena = 2,50 zł/ każdego roku. Ponadto w magazynach państwowych przechowuje się stale wielki zapas suszonych ryb, który może wystarczyć na przeszło dwa lata dla wszystkich obywateli.

Około południa dojeżdżamy do portu Moji /Modzi/. Okręt stanął, aczkolwiek do samego portu będzie jeszcze około 45 minut drogi. Wnet zjawia się przed naszym „Nellore” japońska łódź motorowa, przywożąc komisję lekarską oraz urzędników, mających przeprowadzić rewizję paszportów.

Lekarze badają najpierw całą służbę okrętową, obawiają się bowiem Japończycy, by przypadkiem nie przywiózł ktoś do ich kraju jakiejś zaraźliwej choroby. Pasażerowie natomiast muszą poddać się szczepieniu. Jedynie ci są wolni od tego, którzy jadąc z dalsza, mogą wykazać się świadectwem lekarskim, że przeszli już różne szczepienia. Pokazałem i ja poświadczenie czterokrotnego szczepienia z „Conte

Verde”. Następuje kontrola paszportów. Urzędnicy japońscy wydają się bardzo mili i uprzejmi. Oglądają dokładnie paszport, wizę japońską – wszystko dokładnie zapisują i zaczynają się pytać. Widzieli wprawdzie paszport, ale to im wcale nie przeszkadza, by jeszcze raz zapytać się skąd jadę, gdzie wysiadam, gdzie zamieszkam i w jakim celu jadę, jak długo pozostanę, jakie mam studia i gdzie je odbywałem. Nawet pytali się, gdzie chodziłem do szkoły podstawowej. Dalej, czy żyje ojciec i matka, ile mam rodzeństwa, wreszcie musiałem podać ostatni adres w Polsce i Rzymie. Wszystko zapisywali swoim pismem. W klasie, w której jechałem było nas zaledwie 22 pasażerów, a cała ta historia z paszportami trwała przeszło dwie godziny, a urzędowało ich trzech. Okręt rusza dalej – w porcie jednak nie dobiega do brzegu, zetem chcący wysiadać na ląd, muszą jechać łódką motorową. Jawi się na okręcie o. Mieczysław Mirochana – misjonarz, Polak z Nagasaki. Wiedział o moim przyjeździe i o tym, że wiozę dla nich na budowę małego seminarium 10 tysięcy yen z Shanghaju, więc przyjechał spotkać się ze mną. Koniecznie chciał mnie zabrać z okrętu i zawieźć do Nagasaki, ale kapitan odmówił twierdząc, że każdego pasażera musi dowieźć do portu, do którego ma bilet. Razem więc udaliśmy się do miasta na misję oo. Jezuitów. Szliśmy przez wąskie bez chodników ulice Moji. Po obu stronach widać nie tak bogate, ale barwne i z gustem urządzane wystawy.

Przyglądałem się z ciekawością ludziom, ich ubiorom, wysokim sandałom z drzewa, w których chodzą mężczyźni i kobiety. Uczniowie i uczennice szkolne chodzą w mundurkach europejskich. Mając mało czasu, zmuszony byłem po dwóch godzinach powrócić na statek. Odprowadził mnie o. Mieczysław i rozstaliśmy się. On tejże nocy wracał do Nagasaki, a ja ruszyłem w dalszą drogę.

Jedziemy obecnie morzem między wyspami: Hondo z jednej strony, a z drugiej Kiushu i Shikoku /Kiusie i Sikoku/. Stale widać ląd górzysty, zalesiony, a w dole małe domki japońskie oraz lasy kominów fabrycznych. Mijamy mnóstwo okrętów – wszystkie japońskie, małe. Nad wieczorem zbliżamy się do portu Kobe. Jest to drugi co do wielkości port japoński.

Oczom przedstawia się cudny widok: port wspaniały, miasto piękne, obok góry. Dla mnie jest to najpiękniejszy port z pośród tych, które oglądałem. Po obu stronach na wzgórzach z różnych krzewów potworzono coś w rodzaju klombów: owale, gwiazdy, kotwice itp., a wszystko mieni się w kolorach.

Przed wjazdem do portu znowu komisja lekarska, urzędnicy i znowu te same formalności, pytania, zapisywanie, co w Moji. Jak się okazało w każdym japońskim porcie powtarzały się te same historie.

Do portu wjechaliśmy dopiero wieczorem. Po kolacji namawiała mnie p. Amelia /ta co gra na skrzypcach/ na przechadzkę do miasta. Nie miałem bardzo ochoty chodzić w nocy i tłumaczyłem się zmęczeniem i tym, że czasy niespokojne, więc boję się japońskich żołnierzy, których tak wielu było przy porcie. „To są grzeczni ludzie” odpowiada i dodaje, że ilekroć tutaj przyjeżdża, zawsze idzie, bo i sklepy są czynne przez całą noc, a miasto samo tak jak na obrazku. Tak zachęcony, no i ciekawy widoków wschodniego miasta, zgodziłem się na pójście myśląc, że więcej osób uda się z nami. Wielu wprawdzie wyszło ze statku, ale każda grupa w innym kierunku. Po przejściu dzielnicy portowej, weszliśmy w najpiękniejszą ulicę Kobe nazwaną Motomaci. Po obu stronach wspaniałe magazyny – ulice rzęsiście oświetlone wielkimi lampami i lampionami, zwisającymi na ogromnych łukach.

Robi to wrażenie wielkiego oświetlonego tunelu. Również poszliśmy dalej poza miasto na pięknie iluminowany pagórek /był to park/, stąd w morzu różnorodnych świateł migających w lekkiej mgłę oglądaliśmy piękną panoramę miasta i wspaniałszą od niej panoramę portu.

Pani Amelia półgłosem nuciła piosenki i rozśpiewana prosiła mnie, by usiąść i odpocząć troszkę. Wiedziałem, że nie ma dużo czasu do odjazdu okrętu, więc na moją prośbę wracamy do portu. Gdy już byliśmy na statku prosiła mnie do swojej kabiny na ciasteczka i wino. Powiedziałem, że przyjdę, ale najpierw muszę się umyć, przebrać, więc to trochę potrwa. Dobrze – odpowiedziała. Wpadłem więc do swojej kabiny i w pośpiechu nie zamknąłem drzwi na klucz, przygotowywałem się do Mszy św. i Mszę św. odprawiam. Byłem już po *Pater noster* – tuż przed Komunią św., gdy słyszę pukanie do drzwi, naturalnie nie odzywam się, bo jakże? Już byłem po Komunii św., zapytała mnie trzykrotnie, czy jestem u siebie i nie mając odpowiedzi, słyszałem jak lekko uchyliła drzwi i potem weszła. Odwróciłem się na *Dominus vobiscum*, już klęczała. Gdy bez słowa składałem ołtarzyk, podeszła, by pomóc mi w składaniu paramentów. Pomodliłem się chwilę po Mszy św. w sutannie będąc, potem wstałem i spojrzałem na nią z uśmiechem. Wtedy ona powiedziała: dlaczego ksiądz mówił, że jest nauczycielem? Zachowanie się księdza nie wskazywało na to, że jest osobą świecką – pozwoli ksiądz, że nie przejdziemy na ciasteczka do mnie, ale ja je tutaj przyniosę, bo darować nie mogę. Posiedzieliśmy sobie dłuższą chwilę i bardzo prosiła, bym następne Msze św. odprawiał w salonie – ona z kapitanem to wszystko załatwi. Naprawdę cieszyli się ludzie, bo wielu z nich brało udział przez następne dni we Mszy św., a do mnie odnosili się z bardzo wielkim szacunkiem.

Po naszym powrocie z parku statek ruszył dalej, zatrzymując się jeszcze w dwóch małych portach, mianowicie w Osaka i Yokkaici. Trzymając się stale brzegu, podziwialiśmy coraz to inne okolice, zmieniające się jak wzory w kalejdoskopie. Wjechaliśmy wreszcie w błyszczącą w słońcu taflę Oceanu Spokojnego, tu i ówdzie mijając małe wyspy.

Okręt kieruje się do portu Yokohama, w którym muszę już opuścić „Nellore”. Mieliśmy dotąd przybyć 24 kwietnia, tymczasem przybyliśmy już 23-go po południu. Udałem się na Misję katolicką, gdyż o dalszej podróży tego dnia nie mogłem myśleć, nie wiedząc, gdzie się ruszyć. Przyjął mnie bardzo serdecznie J. E. Ks. biskup Chambon i w jego towarzystwie i kilku misjonarzy oraz jednego Kanadyjczyka ojca naszego zakonu spędziłem wieczór do późnych godzin.

Rano po odprawieniu Mszy św. zjawił się braciszek z klasztoru naszych ojców Kanadyjczyków z Tokyo. Z nim udałem się do tegoż klasztoru, leżącego na pięknym wzgórzu przedmieścia Tokyo.

Ojcowie przyjęli mnie nadzwyczaj gościnnie, po seraficku, toteż czułem się, jak w domu lub w jednym z naszych klasztorów w Polsce. W towarzystwie przełożonego klasztoru zwiedziłem piękną stolicę Japonii. Udałem się również z wizytą do Ambasady Polskiej. Będąc tutaj trzy dni, miałem okazję przyglądać się bodaj trochę niektórym zwyczajom japońskim, np. w kościele nie ma ławek – są tylko maty, na których się kłęką i siada na własnych piętach. Po stronie Ewangelii kłękają kobiety, po stronie Lekcji mężczyźni. Do kościoła wchodzi się w skarpetkach, obuwie zostawia się w przedsionku kościoła. Kobiety wchodząc do kościoła, nakrywają głowy białymi welonami. Przeważnie wszyscy słuchają Mszy św., przystępują do Komunii św. A z jakim skupieniem się modlą!

Dnia 26 kwietnia pożegnałem gościnnych moich współbraci z Kanady i około południa wsiadłem na pociąg zdążający do miasta, który ma mały port Aomori. I znowu tu inny krajobraz. Zaraz za Tokyo rozciągają się uprawne pola. Widać pracowników nawadniających pola ryżowe. W polu pracują w większości kobiety.

Po kilku godzinach płaszczyna zamienia się w okolicę górzystą. Góry dość wysokie, na wierzchołkach pokryte śniegiem, w niektórych miejscach urwiste skały.

W pociągu czułem się zupełnie obco. Jechali sami Japończycy. Obserwowałem więc tych ludzi, wśród których mam żyć i pracować. Wreszcie przysiadł się do mnie pewien Japończyk, który ku memu zdziwieniu znał dobrze język francuski i niemiecki.

Rozmawialiśmy po francusku. I tak szybko zeszedł mi czas aż do portu Aomori, dokąd przybyliśmy około północy. Pół godziny później byłem już na statku japońskim lokalnym, który nas przewiózł na wyspę Hokkaido do portu Hakodate. Był to mały statek, pasażerów pełno, bo Japończycy lubią podróżować. Ponieważ była noc, więc wszyscy poukładali się na matach do snu. Nie miałem jakoś odwagi iść za ich przykładem – usiadłem więc w korytarzu na ławce, zamierzając w ten sposób doczekać się rana. W tym podchodzi do mnie jeden z urzędników okrętowych i zaprowadził mnie do osobnej kabiny pierwszej klasy /aczkolwiek miałem bilet klasy trzeciej/, bym mógł się wygodnie przespać. Zbudził mnie w porcie Hakodate i zaraz przesiadłem się na pociąg do Sapporo, do celu mojej dzisiejszej podróży. Jedziemy prawie cały czas nad morzem, a z drugiej strony piętrzą się góry pokryte śniegiem. Im dalej się posuwam, tym zimniej. Na wyspach południowych już była wiosna w całej pełni, a tutaj coraz zimniej...

Do stolicy wyspy Hokkaido przybyłem w samo południe. Byłem pewny, że o. Feliks Hermann wyjdzie mi naprzeciw. Wiedziałem bowiem, że przebywa w Sapporo i uczy się języka, gdzie i dawniej nasi pierwsi misjonarze się uczyli. Jednak nie on po mnie przyszedł. Przyjechał po mnie o. Hillary franciszkanin, proboszcz jednego z kościołów w Sapporo – Niemiec z pochodzenia – z prowincji fuldzkiej. Udaliśmy się na jego stację misyjną, gdzie powitał mnie o. Feliks i razem spożyliśmy obiad. Nad wieczorem zaprowadzili mnie do klasztoru, gdzie jest nowicjat i przy klasztorze mieszkał także ks. biskup o. Wacław Kinold¹⁵, franciszkanin – również Niemiec.

Mam tu przebywać przez 10 dni. Wprowadzono mnie do mieszkania, podano porządek dnia, cały jego porządek, którego musiałem się trzymać, boć to dom nowicjacki. Zajął się mną jeden z braci, który przyjechał z Niemiec jako nauczyciel i tu wstąpił do nowicjatu. Jak się później dowiedziałem, był on bardzo gorliwym i świątłym nauczycielem w szkole średniej, będącej pod kierownictwem ojców, a także zapalonym misjonarzem – katechetą. Zaglądał on do mnie dość często w ciągu dnia, pytając się, czy czego nie potrzebuję, a nie spytał mnie nigdy, czy przypadkiem się nie nudzę, a czułem się bardzo osamotniony i chciałem jak najprędzej znaleźć się wśród naszych ojców w Sachalinie. Te dni dla mnie wlokły się bardzo powoli.

Miasto Sapporo – aczkolwiek dość duże, zdążyłem już poznać, do stacji misyjnej, na której przebywał o. Feliks, nie bardzo miałem zapęd, bo tak mi się zdawało, że jestem tam tylko przeszkodą.

¹⁵ W. Czarniak, *Franciszkańska misja na Sachalinie*, s. 162.

W czasie tych dni złożyłem wizytę ks. biskupowi o. Kinoldowi. Byłem pewny, że przyjmie mnie sztywno, jak to często bywa u dostojników, ale pomyliłem się. Ten dostojnik we fioletach ujął mnie swoim sercem franciszkańskim. Do tej pory zdążyłem już spotkać franciszkanów z osiemnastu narodowości i doszedłem do wniosku, że jednak najwięcej powłoki człowieczeństwa kryje się pod sercem franciszkańskim polskim. Ale Biskupa Ojca Kinolda wprost pokochałem i jeśli on był wolny od zajęć, wpadałem do niego bodaj na chwileczkę, by z nim porozmawiać. Dziwnie ten człowiek promieniował wokół siebie. Każde jego słowo rozważane, emanowało z serca rozkochanego w pracy misyjnej, utrwalało się w mojej pamięci i zachęcało do gruntownego przygotowania się językowo, aby w najbliższej przyszłości móc wydatnie pracować. Za przykład stawiał naszego o. Gerarda Piotrowskiego, człowieka pełnego poświęcenia dla sprawy misyjnej.

W dzień przed wyjazdem z Sapporo zostałem zaproszony na misję o. Hilarego, gdyż tam odbywał się ślub jednego z katolików miasta Maoka, dokąd miałem się udać. Byłem z ojcami na tym ślubie, a potem i na przyjęciu, co mnie bardzo zmęczyło. Nie znałem bowiem nikogo oprócz tych dwu ojców, rozmowy, wesołych żartów, śpiewów – kompletnie nie rozumiałem, a najgorzej dawało mi się we znaki siedzenie na matach, o czym do tej pory nie miałem pojęcia. Jedzenie weselne – z rozmaitych przysmaków japońskich przyrządzone – mdłości we mnie wzbudzało, a oni wszyscy z tak wielkim smakiem je spożywali. Słuchałem także muzyki /nie bogata to była orkiestra!/ i przyglądałem się figurowym tańcom, które widziałem w życiu po raz pierwszy.

A ja się męczyłem, bo i wszyscy patrzyli na mnie jak „mortowałem” pałeczkami zakolorowany ryż i rozmaite ryby, a pałeczek trzymać nie umiałem. Jedna z niewiast pobiegła do mieszkania misjonarza ojca Hilarego i przyniosła widelec. Dla mnie jeszcze gorzej... Mdlіл mnie zapach i wygląd potraw w ogóle, a skoro otrzymałem „zbawcze” narzędzie – widelec, wszystko w ustach mi rośło i myślałem, że na tym weselu zemdleję.

Doczekałem się wreszcie chwili, kiedy ojcowie opuszczali gościnny dom, bo już i późno było, więc i ja wstałem, wprost poderwałem się z mat, a tymczasem nogi moje stały się jak kłody – jak sprężyny, ani kroku naprzód nie mogłem ruszyć i musiałem przez dłuższą chwilę odpoczywać. Jak radośnie wracałem do klasztoru – można sobie wyobrazić...

W klasztorze nikt nie zapytał mnie jak było na weselu i czy przypadkiem nie jestem głodny. A ja po weselu byłem bardzo głodny, ale mówić nie śmiałem. To

też poszedłem spać – myśląc sobie – to pierwsze z czym się spotkałem, nie dojechawszy jeszcze na swoją placówkę – a co dalej? Pocieszałem się tym, że każdy zaczyna w trudnościach, przyjdzie może czas, że i ja będę podśmiechiwał z innych...

Na drugi dzień ryczo rano spotkaliśmy się z o. Feliksem na dworcu kolejowym, skąd wyruszamy na koniec wyspy Hokkaido do Wakkanai, a stamtąd już na naszą wyspę Sachalin. Podróż tym razem była dla mnie mało interesująca, monotonna – nudna wśród gór pokrytych śniegiem. Wagony pociągu niewielkie, bez przedziałów. Na środku wagonu stał żelazny mały piecyk, do którego dokładano co jakiś czas węgiel. Wokół piecyka gromadzili się pasażerowie, a w wagonie rozchodził się trudny do zniesienia swąd – jakby spalonego paznokcia, ptasich piór, czy też kopyta końskiego.

Dowiedziałem się, że Japończycy bardzo lubią jako swój przysmak ośmiornice. W porach roku, w których nie ma sezonu na połów ośmiornic, suszą skórę ośmiornic, przypalając na piecyku, drą z niej włókna i ze smakiem spożywają. Nawiasem wspomnę, że w podróży jak zauważyłem, Japończycy dużo jedzą. Jednolity stuk kół wagonu i ten „przeziły” zapach, nie zbyt wesoła perspektywa na przyszłość – wprawiły mnie w zadumę i ta przerodziła się w senność – wreszcie zasnąłem.

Zbudziło mnie głośnie wołanie: „Asashigawa teishaba da yo! Okite kudasai, okite kudasai”! /Tu stacja Asashigawa, proszę wstać, proszę wstać!/. Gdy oprzytomniałem spostrzegłem europejską twarz mężczyzny, który rozmawia z o. Feliksem, był to Polak mieszkający w tej miejscowości, żonę ma Japonkę, a trudni się wypiekaniem bułeczek słodkich, które na stacji kolejowej sprzedaje. Widocznie o. Hilary dał mu znać, że będziemy przejeżdżać tym pociągiem, bo wszedł do wagonu i zbudził nas, pozostawiając nam dość dużą ilość słodkich bułek.

Byłem pewny, że zaraz w porcie Wakkanai przesiądziemy się z pociągu na okręt, by dziś jeszcze chociaż późno, być na Sachalinie. Ale o. Feliks miał w porcie Wakkanai przyjaciela swego, misjonarza ojca Dawida Mibacha – Niemca, więc mówi mi, że musi do niego wstąpić. O o. Dawidzie dużo już czytałem, bo i on pracował przez jakiś czas na naszej misji. Byłem ciekawy poznać w podeszłym już wieku misjonarza. O. Dawid widocznie już wiedział o naszym przyjeździe, przyszedł bowiem po nas na stację kolejową, zabrał na swoją placówkę i serdecznie po franciszkańsku ugościł. Rano wstaliśmy wcześniej, po kolei odprawialiśmy Msze święte,

dłużej posiedzieliśmy przy śniadaniu i odprowadzeni przez o. Dawida udaliśmy się do portu.

Formalności żadnych nie było, wystarczyło pokazać bilet kolejowo-okrętowy i wsiedliśmy na pokład niewielkiego okrętu, rozsiadając się w małym salonie, bo za niecałe 6 godzin będziemy już na Sachalinie, by wysiąść w porcie Odomari.

Na powitanie przybyła cała grupa naszych misjonarzy. A więc o. Paulin Wilczyński, o. Pius Lewandowski, o. Rafał Krukowski i brat Zachariasz Banaś.

Po serdecznym przywitaniu z nimi, policja poprosiła do gabinetu mnie dla załatwienia formalności, towarzyszył mi o. Pius Lewandowski, służąc za tłumacza. Wspomnę, że o. Pius z tutaj obecnych misjonarzy najlepiej znał język japoński i właściwie to on nadawał ton całej pracy i z oddaniem się całkowitym pracował wówczas przy budowie nowego kościoła i domu misyjnego w Toyohara, o czym już wspominałem na początku mego opowiadania.

Udaliśmy się wszyscy do domu misyjnego w Odomari, gdzie gospodarzem był o. Rafał i w czasie krótkiego serdecznego przyjęcia nie wiedzieliśmy, co sobie najpierw opowiadać. Kiedy przybyłem na Sachalin – akuratnie przypadało święto Królowej Polski, to też Jej przede wszystkim dziękowałem za dotychczasową opiekę w czasie podróży tak długiej, a szczęśliwie przebytej. Z o. Feliksem zostałem w Odomari do następnego dnia. Około południa dnia 4-go maja opuściliśmy Odomari, udając się do Centrum Sachalinu, do miasta Toyohara. Tu właśnie oglądaliśmy prawie już na ukończeniu nowy kościół i dom dość duży, by mogli gromadzić się misjonarze na różne swoje zjazdy.

Po obiedzie o. Paulin zabrał mnie do miasta Maoka, gdzie pod jego opieką mam dokształcać się w języku i przypatrywać się, jak wygląda praca misyjna. Maoka, to miasto mające swój port. Od stacji do placówki misyjnej jest zaledwie 400 metrów, a sama stacja kolejowa leży tuż nad morzem. Ze zdjęcia znałem naszą placówkę w Maoka, toteż serce mi zabiło z jakimś dziwnym uczuciem, bo przecież na budowę tego obiektu kiedyś w Rybniku dałem z bólem serca 50 groszy... Gdy się przybliżyliśmy do domu, zwyczajem japońskim katecheta oraz jej matka kucharka otwierają drzwi i serdecznie nas witają. Była już późna pora – o. Paulin najpierw zaprowadził mnie do kościoła i tu dopiero krótko, ale z głębi serca podziękowałem Bogu, że wreszcie jestem wśród swoich współbraci i na naszej placówce, gorąco prosząc o błogosławieństwo na nową drogę mojego życia. Po posiłku ułożyliśmy się do snu. Ciężko było mi zasnąć tej nocy z wrażenia, że jestem w Maoka, o której tak dużo czytałem.

Początki mojego pobytu w Maoka

Prawie nie zmrużyłem oka. Toteż skoro świt zerwałem się, umyłem i ubrałem. Wyszedłem przed kościół. Przed naszą placówką szerokie pole niezabudowane, od wyjścia z prawej strony ciągną się domy, wąskie i proste ulice, z lewej są budynki nieuszeregowane z ogródkami, od tyłu naszej posiadłości mały ogródek, wyżej wśród krzewów alejka, a jeszcze wyżej piętrzy się porośnięta trawą i krzewami góra dość wysoka. Od naszej prawej strony tylko parkanem oddzielony plac, a na nim świątynia buddyjska. Oto ramy naszego obiektu.

Powróciłem do siebie i teraz dopiero przyjrzałem się jak wygląda moje mieszkanie. O. Paulin mieszka na piętrze, ja na parterze. Mam miły i piękny pokój, w pokoju biurko, fotelik, biblioteczkę, kilka krzesełek, no i żelazny piecyk. Sypialka mała – w niej łóżko, stoliczek, umywalka i szafa.

O godzinie 5.30 o. Paulin zadzwonił na Anioł Pański i ja poszedłem do kościółka. Siadamy na matach /ja raczej klęczałem/, odmówiliśmy według naszego zwyczaju w Polsce modlitwy poranne i odprawiliśmy rozmyślanie wspólne, następnie prywatnie odmawialiśmy Brewiarz i gdy się gromadka ludzi zebrała o. Paulin odprawił Mszę św., a ja po nim. Po Mszy św. śniadanie, obiad o 12.30, kolacja o 18- tej. To zarys programu dnia dla mnie, bo jeszcze nie pracowałem. O. Paulin udzielał katechizacji przed południem i po obiedzie, często i wieczorem.

Przyszła niedziela, pierwsza niedziela na placówce. Po Mszy św. głównej o. Paulin przedstawił mnie wiernym na sali parafialnej. Wieczorem przyszedł profesor – poganin, który ma mi udzielać nauki języka japońskiego i przy okazji zorientował się, ile już umiem po nauce w Rzymie. Od poniedziałku ma już przychodzić do mnie codziennie o godzinie 9-tej.

O. Paulin bardzo się cieszył moim przyjazdem, bo wciąż myślał o tym, by ktoś go zastąpił, gdyż ma zamiar wrócić do Polski, by jeszcze zobaczyć się ze swoją matką staruszką ociemniałą. Dlatego też i przy posiłkach stale włączał we mnie japońszczyznę. Po kilku dniach mówi mi o. Paulin: „No kochany – ja muszę wyjechać na dzinkai, a ty zostaniesz sam”. Pytam się, co to jest dzinkai – a on mi tłumaczy, że jest to objazd duszpasterski, a miejscowości należy bardzo dużo do naszej placówki, zatem gdy wyjedzie, nie wróci prędzej niż za 6 mniej więcej tygodni. Coś mną szarpnęło... Do kogo ja „gębę” otworzę? Ale postanowiłem sobie być stale pogodnym, toteż i teraz się uśmiechnąłem i powiedziałem, że to nawet dobrze dla mnie,

bo nie będę miał okazji używania języka polskiego, co mnie zmusi do mówienia wszystkiego po japońsku.

„Pamiętaj – powiedział – ucz się, wykorzystuj każdą okazję, a będziesz zadowolony. Nie zrażaj się żadnymi niepowodzeniami”. Dodał: „Per aspera ad astra!” /przez trudności do gwiazd!/ Na drugi dzień wyjechał. Zaczęły się dla mnie dni przykre, które później wspomina się z humorem.

Spowiedzi nie słuchałem, bo to rzecz za poważna – nie znając języka. Msza św. po łacinie – pocieszałem się – zatem nie ma trudności. Są natomiast nabożeństwa po japońsku – o! – to gorzej... Na szczęście katechetka była bardzo zącną niewiastą, przestawała długie lata z Europejczykami, wniknęła w sposób myślenia Europejczyka i mną też zajęła się bardzo troskliwie. Sądzę, że wczuwała się w moje zakłopotanie.

Po wyjeździe więc o. Paulina przychodziła do mnie, brała modlitwy, jakie musiałem czytać, dyktowała mi je, a ja pisałem sobie w naszej wymowie i naszymi literami. A potem ćwiczyłem, by dobrze odczytać. Zdaje się, że mi jakoś to wychodziło, ale czytałem strasznie nerwowo i raz – pamiętam – w litanii do Matki Bożej, gdy przysłała inwokacja „Bara no hana” /Rózo duchowna/ – to mi się przeczytało „Hara no bane” /sprężyno brzucha/, ale ładnie odpowiedzieli: módl się za nami... Jak się dowiedziałem – to Japończycy wiedząc, że ktoś uczy się po japońsku, chociaż się w czymś pomyli, nigdy się nie śmieją, doceniając dobre chęci mimo woli przekraczającego ich język człowieka. Stopniowo dochodziłem do wprawy, ale mnie to bardzo dużo kosztowało.

Lekcje języka z profesorem

Mój profesor – to poganin, bardzo zącny człowiek. Przychodził regularnie na lekcje. Bieda była tylko z tym, że z obcych języków znał tylko angielski, a ja tego języka kompletnie nie znałem. Przychodząc czytał mi znaki japońskiego pisma – ja za nim powtarzałem. Następnie dany znak pisał powoli, ja go naśladowałem, a gdy doszedłem do pewnej wprawy, wtedy napisałem sobie znak na czysto, a obok dźwięk dla siebie, a jeszcze dalej znaczenie znaku w języku angielskim, bo milcząc pokazywał mi znaczenie w słowniku japońsko-angielskim.

Po lekcji, gdy profesor już poszedł, brałem do ręki słownik angielsko-polski i wpisywałem sobie już formalne znaczenie. Język japoński nie ma zbieżności

z żadnym z języków europejskich, toteż musiałem mechanicznie wkuwając, przyswajając sobie dźwięk i znaczenie. Gdy mnie już głowa rozboleła i w oczach się mieniło, wychodziłem sobie na górę poza nasz ogródek i tam na głos wszystko sobie przyswajałem. W ten sposób dziennie opanowywałem od 6–8 znaków i ich dźwięków. Gdy o. Paulin powrócił, pochwalił moją pilność i systematyczność w nauce. Oj! – była to nauka!

Pomoc ze strony o. Paulina

O. Paulin – to dawny pedagog. Ci, których uczył ongiś w Polsce, z uznaniem o nim się wyrażali, chwając i podziwiając jego wszechstronną wiedzę oraz umiejętność przekazywania jej swoim słuchaczom. Mimo nawału katechizacji zawsze dla mnie znalazł czas. Na krótkich naszych wspólnych przechadzkach opowiadał mi różności ze swoich osobistych przeżyć, a w każdym jego opowiadaniu wyczuwałem wielką troskę o dusze ludzkie i troskę o nabycie w miejscowościach większych placów pod budowę nowych placówek, bo przecież spodziewał się, że nasza liczba będzie się powiększać.

Męczącym dla mnie było to, że przy stole prawie że nigdy nie mówił do mnie po polsku, tylko po japońsku i do mnie będącego nieraz w kłopotcie odzywał się: „męcz się ojciec i myśl, a to ci na dobre wyjdzie”. Męczyłem się i myślałem, lecz czasem to mnie coś roznieść chciało. Ponadto, gdy przyszedł jakiś interesant, zawsze mnie prosił, by przyjść. Nieraz mówiłem po co? Przecież jeszcze nie rozumiem co mówią. A on spokojnie: powoli będziesz rozumiał pewne słowa, przyswoisz sobie ich dźwięk, a następnie chwycisz myśl i sens, to uważaj, byś się śmiał w dobrym miejscu. Katechetka była często przy interesantach. Podając herbatę z łagodnym uśmiechem spoglądała na mnie.

Raz powiedziała do o. Paulina przy mnie, że szybko dam sobie radę z językiem, bo jak widzi po minie mojej dużo już rozumiem. Zależało na tym o. Paulinowi, bym mógł spowiadać. Więc znowu przy stole wałkował ze mną rachunki sumienia dla dzieci i dorosłych. Po pięciu miesiącach pobytu czułem, że już dam sobie radę ze spowiedzią, pojechałem wtedy do Toyohara do o. Feliksa jako naszego ordynariusza, by udzielił mi jurysdykcji do słuchania spowiedzi. Powinien mnie z języka japońskiego przeegzaminować. W drodze ułożyłem sobie prośbę po japońsku i po przybyciu i przywitaniu się poprosiłem o jurysdykcję. On spojrzał na mnie jakoś

dziwnie i nie mogłem z jego miny wywnioskować, czy ja źle się wypowiedziałem, czy też on nie rozumie po japońsku. To drugie okazało się prawdą. Poprosiłem zatem w języku polskim. Poprosił wtedy o. Piusa, by mnie przeegzaminował. A o. Pius odpowiedział: skoro prosi musi umieć, a zresztą w rozmowie jak się przekonałem – już doskonale sobie radzi. Otrzymałem jurysdykcję i powróciłem z radością, że więcej mogę być pomocą o. Paulinowi.

W najbliższą niedzielę usiadłem do konfesjonału. Starsi do mnie przyszlizli. Z młodzieży natomiast ani jedna osoba – czekali na o. Paulina. Po nabożeństwie o. Paulin pyta się, dlaczego nie spowiadali się u młodego ojca? Ze śmiechem odpowiedział jeden z młodzieńców: „Starszemu człowiekowi można mówić – pamiętaj! – to właśnie on zapomni. Ale młody będzie wszystko pamiętał”. Stopniowo jednak przyzwyczaili się – przychodzili do mnie, a zresztą gdy często bywałem sam – musieli przychodzić, a spowiadają się często, bo kto jest na Mszy św. – to przystępuje do Komunii św.

Początki pracy

Już byłem większą pomocą. Dalej jednak systematycznie uczyłem się języka. Nie unikałem już spotkań z wiernymi, przystawałem z dziećmi i młodzieżą. O. Paulin wprowadził mnie do niektórych domów naszych wiernych z poleceniem, bym często ich odwiedzał – bo dla nich to na dobre wyjdzie, że nimi się interesujemy, a i ja skorzystam zawsze, by nabierać biegłości w japońszczyźnie.

Spotykałem się więc bardzo często z różnymi ludźmi i prostymi i inteligentnymi – katolikami i poganami. Przypatrywałem się im. Znałem wiele nazwisk i imion, ale gdy w gromadzie wszystkich widziałem, nie byłem w stanie rozróżnić ich twarzy. Wszyscy wydawali mi się do siebie podobni – nie widziałem żadnej różnicy w twarzach wszystkich.

Razu pewnego ośmieliłem zapytać się katechetki dlaczego japońska rasa nie ma specjalnych cech twarzy – ale wszyscy jesteście tak bardzo do siebie podobni. Odpowiedziała mi, że wszyscy ojcowie z początku tak samo mówili jak i ja, a potem powiedziała, że oni też myślą, czemu Europejczycy są tak do siebie podobni... tylko włosy – a raczej ich kolor pozwalają odróżnić człowieka od człowieka. Niech ojciec poczekaj – mówi, a przekona się, że my podobnie jak i wy mamy specyficzne cechy i rysy twarzy. Na razie te słowa mnie jeszcze nie przekonały, zobaczyłem z biegiem czasu.

Już oswoiłem się z moimi obowiązkami, których wykonanie jest w moich możliwościach. O. Paulin zachęca mnie, bym już pomyślał o przygotowywaniu kazań. Odpowiedziałem, że jeżeli mi pozwoli – to powiem pierwsze na Boże Narodzenie na pasterce. Ale wciąż patrzę na naszych wiernych i denerwuje mnie to, że nie mogę odróżnić twarzy od twarzy.

Przypominają mi się słowa Ojca św., gdy nas żegnał: „Pamiętajcie młodzi ojcowie misjonarze, że każdy z was udaje się do innego kraju! Nigdy nie wyrzekajcie się swojej ojczyzny! Ale i ten kraj, do którego się udajecie, musicie pokochać tak samo, jak swoją ojczyznę – bo i on rzeczywiście stanie się drugą waszą ojczyzną. Ukochajcie ludzi, do których i dla których się udajecie. Każdy ma duszę nieśmiertelną. Chociaż mieliby inne przekonania, kochajcie ich całym sercem. Pamiętajcie, że serce kapłana – misjonarza musi być takie jak koryto rzeki, źródło mianowicie, gdy wypływa z ziemi, czy ze skały, żłobi sobie takie koryto, by woda wytryskająca w nim się zmieściła. W wyjątkowych tylko wypadkach następuje wylew. Tak i w sercu kapłana – misjonarza musi być bardzo wiele miejsca, aby wszyscy ludzie, z którymi on ma jakąkolwiek styczność mogli w nim się zmieścić. Jeśli tak potraktujecie swoje powołanie i posłannictwo, Bóg wam będzie błogosławił, a w sercach waszych rozgości się prawdziwa satysfakcja i radość”. Tak mówił Ojciec święty Pius XI. Przypominam sobie te słowa i chciałbym je stosować w życiu.

W tak trudnych początkach mej pracy modlę się o to, aby ich pokochać. Przy muszam się do tego... Niestety – kiedy to nastąpi? Od początku samego nie czuję do nich nawet sympatii, gdzież więc ulokować miłość dla nich? W chwili przybycia na placówkę – nie myślałem o tej miłości – upojony byłem tym, że już dojechałem do celu. Zresztą tyle miałem wrażeń przez całą drogę, że jeszcze o tym nie myślałem. Teraz zaczyna się ...

Od samego przyjazdu, gdy zastanawiam się nad tym problemem – to szczerze muszę powiedzieć, że ta rasa mi się nie podoba. Zamiast miłości – czuję wstręt fizyczny do nich. Dla mnie dziwne mi się wydaje ich zachowanie, sposób obcowania, zachowanie się przy jedzeniu też nie zachęca mnie do apetytu, głośne młaskanie przy jedzeniu, a z drugiej strony zadziwia mnie ich spokój i opanowanie, serdeczność, które nie mogę rozgryźć, czy jest ona prawdziwa, czy sztuczna, wielka usługowość i wyrozumiałość itd. ...

Przysłuchuję się jak uczy katechetka i jak o. Paulin, czy to w sali katechetycznej, czy też prywatnie w domach – bo to mnie również w najbliższym czasie czeka.

Lekcji katechetycznych jest bardzo dużo, chociaż bywają wypadki, że uczy się tylko dwie lub trzy osoby w domu. Tak wykładający jak i uczący zawsze są uśmiechnięci, serdeczni – tak tutaj podobno musi być. Muszę tych ludzi pokochać – hm... kiedy to nastąpi? Łamać mi się nie wolno! Wiem po co przyjechałem, a w kraju modlą się w mojej intencji i myślą o mnie.

Nadszedł miesiąc wrzesień. W Europie wojna – w Polsce wojna! Słuchamy coraz gorszych wiadomości. O. Paulin silnie się rozchorował. Napisał już bowiem do o. Generała o pozwolenie na powrót – a tu tymczasem wojna! Do Polski już nie pojedzie... Biedny, sterany pracą o. Paulin...

O. Paulin kupił mi radio, bym nabierał wprawy w języku. Słuchałem wiadomości z Europy – ale cóż – nic nie rozumiałem. Widziała to pocziwa katechetka, że się męczę, więc klasyczny język japoński w prostych słowach mi streszczała. Tak śledziłem przebieg wojny w naszej ojczyźnie...

Normalnie i systematycznie pobierałem lekcje z profesorem i uczyłem się jak na początku, idąc sobie za ogródek.

Przyszędł listopad, procesja na cmentarz, a o. Paulin choruje, sam ją prowadziłem z modlitwami. Jak one wypadły wiem – chyba bardzo „żałośnie” – ale powiedziałem ojcu, że dobrze. Niech się cieszy, że ma już we mnie pomoc.

Przy końcu listopada zacząłem myśleć o kazaniu na pasterce. Wziąłem kazanie polskie i usiłuję tłumaczyć, bo miałem powiedziane – próbuj sam – to będzie najlepiej. Pierwsze kazanie po japońsku! Ono musi wyjść dobrze – tak sobie powiedziałem – i zabrałem się do roboty. Pozbierałem myśli, i jakoś ułożyłem i poprosiłem katechetkę, by mi poprawiła, nie mówiąc nic o tym o. Paulinowi. Zgodziła się na to. Poprawiając, uśmiechała się, w niejednym miejscu zapytywała, co chcę powiedzieć. Zrozumiawszy moją myśl, stylizowała, a ja wszystkie jej powiedzenia wchłaniałem w siebie. Po trzech dniach – kazanie gotowe. Przeczytałem je o. Paulinowi i on zapytał mnie, czy to sam kombinowałem? Sam – odpowiadam, ale prawie wszystko przerobiła mi katechetka. Dobrze – mówi o. Paulin – że z tym sobie tak poradziłeś. Myśl o dalszych kazaniach i o katechizacji, bo ja już stary, a nawet gdybym nie mógł wrócić do Polski, założymy nową stację misyjną, gdyż rozciągłość naszej parafii jest za wielka.

Zrozumiałem, że cokolwiek będzie z o. Paulinem, czy wyjedzie do Polski, czy nie w niedługim czasie będę samodzielnie pracował na jakiejś placówce. To mi zaczęło imponować i bardziej zachęcało do nauki, bo zdawałem sobie sprawę z odpowiedzialności, jaka mnie czeka...

Przygotowania do obchodu uroczystości Bożego Narodzenia już postępują w szybkim tempie. Każdy uwija się, by one jak najlepiej wypadły. Ja przede wszystkim myślę o pierwszym kazaniu...

Przygotowanie do świąt Bożego Narodzenia i sama uroczystość

Już od przeszło dwu miesięcy trwają przygotowania do uroczystości Bożego Narodzenia. Na te święta czekają z wielką radością tak katolicy, jak i poganie. Pierwsi – by przeżywać tajemnice tak wielkiej pamiątki przyjścia na świat Zbawiciela, drudzy – by brać udział w imprezach urządzanych przez ich dzieci dorosłe lub też przez te najmłodsze. Zatem wszyscy w radosnym nastroju oczekują – a przygotowania do tego wszystkiego wymagają ogromnego wysiłku i poświęcenia, bo i praca ewangelizacyjna nie może być przerwana.

O. Paulin mnie zachęca, bym brał udział w tym wszystkim i służył pomocą, na jaką mnie stać. Cóż mogłem pomóc? Młodzież przedstawi sztukę „życie i śmierć św. Agnieszki”. W tym pomóc nie mogę, bo jeszcze nie znam dostatecznie języka. Dzieci przygotowują swoje śpiewy narodowe wraz z tańcami figurowymi o ciekawej i pięknej rytmice, a także kilka kolęd. W tym mniej więcej mogę służyć pomocą i wyręczyć o. Paulina, czy katechetkę, bo podkład już jest zrobiony. „Yugi” oraz „Geki” – te dwa słowa – /tańce i przedstawienie/ nie schodziły z ust zainteresowanych... Już wszystko jest gotowe i trzeba teraz bliższe przygotowania porobić na sali, scenie, to także praca pochłaniająca wiele czasu. Dochodzi jeszcze do tego ustawienie żłóbka w kościele.

O. Paulin w moich oczach uchodziła za człowieka w każdej dziedzinie nadwyzczaj uzdolnionego, ale w tym wypadku okazało się, że nie ma ochoty zająć się żłóbkiem, bo i narzekał, że jeszcze nie znalazł katolika, który by zajął się budowaniem, czy stawianiem szopki. Mówił, że zawsze przepłacał poganina stolarza, dawał mu wskazówki i jakoś z roku na rok „montowany” był żłobeczek – ale to nie jest to, co chciałby widzieć w naszym kościele. Po namyśle sam tedy podjąłem się zrobić plan i ustawić szopkę, by była trochę przynajmniej lepsza od tej, którą widziałem na zdjęciu z ubiegłego roku. O. Paulin bardzo się ucieszył moją propozycją i powiedział, że czego tylko będę potrzebował, chętnie postara się o wszystko, nie żałując pieniędzy.

W ostatnich dniach przed świętami z pomocą trzech chętnych młodzieńców rozpocząłem stawianie szopki. Nie szło mi to tak łatwo, jak się tego spodziewałem,

ale wreszcie szopka gotowa... Gdy gromadziłem materiał na tę „budowę” – mianowicie kamienie, kamyczki, mech i deski oraz trociny, pytali mnie: Dlaczego ojciec gromadzisz tyle tego wszystkiego i brudzisz kościół przed świętami? Odpowiadałem: zbuduję niewielką górę, a na niej postawię stajenkę dla Jezusa – chcę, żeby była piękniejsza od tej, w której się narodził... Kiwali głowami bez słów – chyba z politowaniem nad moją mizerną głową ...

A jednak stanęła piękna szopka... Wielu katolików i pogan oglądając ją – takie rzucali słowa: Goran – mite kudasai! Donna ni rippa na umaya! Tottemo utsukushii tokoro! /Patrzcie, patrzcie co za wspaniała stajenka! Ile ona ma uroku!/. Zachęciło, a raczej zapaliło mnie to do udoskonalenia moich pomysłów, by całość jeszcze więcej nabrała piękna.

O. Paulin był bardzo zadowolony, że nie miał tyle kłopotów, jak po inne lata, a moje serce rozpieierała niezmierna radość, że już mogłem dać coś z siebie. Wszystko już gotowe – pomyślałem sobie, a teraz zobaczymy, jak będę przeżywał tutaj święta – bo we Włoszech w Rzymie – w pierwszą wigilię poza Polską – zatęskniłem i popłakałem się za opłatkiem i wieczerzą wigilijną...

Tu jednak nie było czasu na płacz i nie myślało się w sam dzień o wieczerzy wigilijnej. W przeddzień wigilii o. Paulin powiedział: „Jedź ojciec, jedź, bo jutro nie będzie czasu na jedzenie”. W sam dzień wigilijny po Mszach św. w pośpiechu zjedliśmy śniadanie, a potem o. Paulin dał mi nazwiska i adresy nauczycieli, lekarzy i urzędników, bym poszedł ich zapraszać na dzisiejsze wyczyny młodzieży i dzieci na godzinę 17-tą. Chętnie usłuchałem i poszedłem do wszystkich – zapraszając, to zeszło mi do godziny 15-tej. Po powrocie zdziwiłem się widząc, co się u nas dzieje w sali, w salce, na korytarzu, w rozmównicy i nawet częściowo w moim mieszkaniu.

Przyjechało na święta dużo wiernych z okolicy, schodzili się już na przedstawienia rodzice odgrywających dzieci, ze sklepu przyjeżdżały saneczki z paczkami, pełnymi ciastek japońskich, słodczy i mandarynek, które ktoś zamawiał i ktoś płacił, ale myśmy nie znali tych właśnie ofiarodawców. Było bardzo gwarnie...

Zajęcia bardzo dużo, a przez moją myśl przesuwają się słowa dzisiejszego kazania, które mam wygłosić za parę godzin: „Kono O-sanego wa, Shina-zen no ue yori jikkai wo ataeta to onaji Teshu de arimasu. Kono O-sanago wa mukashi to atarashii jidai wo ippen shita Teshu de arimasu” itd. /To Dziecię jest tym samym Bogiem, który dał nam dekalog na górze Synai. To Dziecię podzieliło starą historię i nową/. Sądzę, że jakoś bez pomocy kartki dam sobie radę.

W ciszy rozpoczęły się występy dzieci, które zbierały silne brawa. Następnie młodzież z przejęciem odegrała swoją sztukę. Widać było wzruszenie na twarzach obecnych. Minęła godzina ósma wieczorem, katechetka zleciła młodzieży uprzątnąć salę itd., bo musi pomagać teraz w kościele o. Paulinowi przy udzielaniu chrztów dorosłych, a potem dzieci, bo już około godziny 20.30 zaczęły się te ceremonie narodzenia Jezusa w pogańskich sercach. Ja natomiast słuchałem spowiedzi z dalsza przybyłych wiernych.

Po godzinie 23-ej wszystko było ukończzone i przygotowujemy się do samej Pasterki. Wielu pogan zostało, by brać udział w ceremoniach w kościele, toteż o. Paulin pięknie przemówił, wprowadzając odpowiedni nastrój na bardzo uroczystą chwilę. Ja zasiadłem już do dużej fisharmonii, by wiernym na wstępie akompaniować przy śpiewie przed Pasterką: „Shizukeki mayonaka” /Cicha noc, święta noc/. O. Paulin z przejęciem śpiewa Pasterkę swoim nosowym głosem, a ja w czasie lekcji podchodzę do pulpitu /ambony bowiem nie było/, by odczytać Ewangelię i wygłosić pierwsze kazanie w języku japońskim. Przed oczyma moimi jawią się różne kolory, bardziej przeżywałem tę chwilę, niż pierwsze kazanie w Polsce jako diakon. Opanowałem się. Opanowałem się – zacząłem z powagą, mając w pamięci uwagi mi dawane o stylu wygłoszenia. Kartki nie miałem, a w oczach już nie widziałem mieniących się kolorów, ale Bożą Dziecinę, która wyciąga rączkę i wszystkich błogosławi. Wygłosiłem pierwsze kazanie. Dalej rażniej już grałem i śpiewałem, patrzyłem na rozanielone twarze nowo-ochrzczonych, którzy po raz pierwszy przyjęli Jezusa do serca.

Przed podaniem pierwszej Komunii św. o. Paulin w kilku słowach serdecznie przemówił. Po Pasterce o. Paulin odprawił dalsze swoje ciche Msze św., kto chciał to został na nich, a ja miałem polecenie, by zgromadzić gości pogan w „dendokan”, tj. w celi parafialnej dużej i tam zająć się nimi. Pytali się oni o zwyczaje w naszej ojczyźnie w czasie tego święta i chwalili mój szalony wprost postęp w znajomości języka, bo oni długo się muszą uczyć zanim bodaj trochę opanują obcy język. Ja tylko bałem się głębszej jakiejś dyskusji, bo wyszła by na jaw znajomość mojej japońszczyzny. Wszystko poszło jednak zgrabnie do przybycia o. Paulina i odetchnąłem... Niewiasty usługiwały, podając co było przygotowane, jadłem i ja i piłem japońską herbatę, bawiłem się później z młodzieżą i dziećmi do rana, z wrażeń przeżytych spać mi się nie chciało.

Rano odprawiłem swoje trzy Msze św. i dalej przebywałem z młodzieżą i dziećmi starszymi aż do wieczora. Dopiero teraz zostaliśmy sami z o. Paulinem.

Pogratulował mi, złożyliśmy sobie serdeczne życzenia według naszego zwyczaju i pytał się, czy nie byłem głodny i czy nie brakowało mi opłatka wigilijnego. Odpowiedziałem, że ani nie pomyślałem o tym, tak pięknie dla mnie wszystko minęło. Bez wieczerzy wigilijnej – mówi o. Paulin – będziesz już teraz tak obchodził każde Boże Narodzenie. Oby dalsze były dla ciebie tak wesołe!

Dochodzą wieści, że wielu ludzi pogańskich nie mogło wziąć udziału w tak pięknych przedstawieniach i dlatego proszą, by jeszcze je powtórzyć. Powtarzaliśmy w Nowy Rok i w Trzech Króli. Ja już tego nie przeżywałem tak głęboko jak w wigilię – to rzecz zrozumiała.

Mój pierwszy Nowy Rok na Sachalinie

Zaraz po świętach zauważyłem dziwną krzątanicę koło domu i w domu naszej służby. Wśród nich uwijali się także sąsiedzi poganie, którzy z nami utrzymywali bardzo serdeczne stosunki. Co to może znaczyć – pytam się o. Paulina. Odpowiedział mi, że to nazywa się „o-mochi tsukure” – tzn. przygotowanie specjalnych placzków z ryżu z okazji uroczystości noworocznych. Jedzą to oni od Nowego Roku przez kilkanaście dni jako swój narodowy przysmak. Możesz śmiało iść – mówi o. Paulin – i przypatrywać się, jak oni to robią. A że wybierają na to oni i nasze obejście – to dlatego, bo wygodniej dla nich jest tam, gdzie jest woda bieżąca. Oglądałem...

Naznosili bardzo dużo ryżu i pakunkowego papieru. Przynieśli także wielki wyżłobiony pień z grubego drzewa i drewniany młot. Pomyślałem sobie – na co to wszystko /te narzędzia/? Tymczasem kobiety przygotowują ryż, gotując go na parze, mężczyźni stoją koło wydrążonego pnia, a skoro niewiasty do wydrążonego niby kocioł pnia wsypią na parze ugotowany ryż, wtedy jeden drewnianym młotem bije ten ryż, a drugi gołą ręką szybko przewraca ten gorący ryż. Wszystko to odbywa się w rytmie, dlatego przyspiewują sobie do taktu dość silnym głosem. W ten sposób ubijany ryż zamienia się w masę, a gdy już nie ma ani jednego ziarenka, wykładają tę masę na pakunkowy papier i rozciągają – wałkując do grubości mnie więcej jednego centymetra. Gdy na pół przynajmniej przyschnie – wtedy kroją to ciasto w prostokąty, kwadraty i trapezy i doprowadzają do całkowitego wysuszenia. Wyrabiają tego bardzo dużo, to i praca przeciąga się przez kilka dni. Dla nas też coś się zrobi? – pytam. O. Paulin mówi: Nie martw się – za to, że u nas to wyrabiają, zostawią nam tego tyle, że nie przejemy tego ani my ze służbą, ani nawet

goście. Te bowiem rzeczy powinno się jeść przynajmniej do dnia 12-go stycznia, a my jeszcze będziemy się tym karmić po dwudziestym... Nie wiem zresztą, czy ty w ogóle będziesz mógł jeść – bo ja przez kilka lat czułem wstręt do tego – a teraz to bardzo lubię.

W wigilię Nowego Roku kucharka przyrządziła nam ten wspaniały przysmak japoński. Jak to się będzie jeść – myślę sobie, przecież w tym cieście nie było ani soli, ani żadnej rzeczy, która by mogła nadać, czy spowodować jakiś smak. Mało jednak z tym pracy... Najpierw w jakimś większym garnku lub kociołku gotują niebieską fasolę, rozgotowaną przecedzają przez sito. Otrzymaną stąd „ciecz” zaprawiają pół na pół cukrem i na nowo gotują, aż cukier się rozpuści. „Zupa” więc gotowa. A teraz z kolei nad żarzącym się drzewnym węglem rozpościerają siatkę i na niej układają jak drewno wysuszone placki ryżowe. Pod wpływem żaru – pęcznieją one, zmieniają kolor i wewnątrz stają się kleiste. Gdy jeszcze są gorące wkłada się je do słodczą przepelnionej zupy fasolowej i podaje się do stołu. Placki te wyławia się pałeczkami, a zupą się popija. Patrzyli na mnie, czy będę jadł – a ja z niekłamanym apetytem zjadłem pełną miseczkę i proszę o drugą. Wszyscy byli bardzo zadowoleni, że mogę jeść i to ze smakiem. Jadłem – póki nam starczyło codziennie i nie odrzucało mnie od tego przysmaku. Naprawdę wspaniała potrawa – nie potrzeba naszego ciasta. Ale „o-mochi” skończyły się...

A jak nasz Nowy Rok katolicki? O północy odprawia się Msza św. z kolędami i odpowiednim kazaniem – raczej godzinę po północy. Dlaczego nie o północy? Poganie mają swoje uroczystości w swoich świątyniach /dzindzia/, wielu katolików udaje się tam ze swoimi rodzinami, a potem przyprowadzają ich do kościoła. Po Mszy św. zaraz nie wracają do domów, lecz piją herbatę i jedzą ciastka i owoce w sali parafialnej /dendokan/ i bawią się do rana, składając sobie przy tej okazji życzenia noworoczne.

Po rannej Mszy św. o. Paulin mówi do mnie: no teraz przebieramy się w sutanny /habity nosiliśmy tylko u siebie w kościele/ i pojedziemy z życzeniami tam, gdzie iść powinniśmy – taki tu jest zwyczaj. Zabierz ze sobą większą ilość „meishi” /wizytówek/.

Poszliśmy do różnych domów pogańskich i uderzyło mnie to, że w przedsionku każdego domu stały stoliczek czarny i na nim stała czarnego koloru tacka /czarny kolor w Japonii to kolor uroczysty/. W domach nie ma dzwonka, ani się nie puka, tylko trzeba wołać „go men kudasai”! /proszę się pokazać/. Gdy ktoś wyjdzie – składa się życzenia wypowiadając wszędzie utarte formułki, nie słuchając, co druga

osoba mówi, mówi bowiem to samo i kładzie się swoją wizytówkę na tacy. Nikogo wtedy nie proszą, by czymś poczęstować – tego zwyczaju nie ma. Jest tylko formalne składanie życzeń noworocznych. Obchodzenie domów z życzeniami zabiera sporo czasu. Jeśli ktoś z domowników nie wyjdzie, nikt się nie obraża, tylko na stoliku kładąc, zostawia się swoją wizytówkę na znak, że się było z życzeniami. Dopiero po nowym roku – począwszy od dnia 2-go stycznia proszą do siebie na przyjęcie i my również musieliśmy raz po raz przyjmować u siebie gości. Piękny pogański zwyczaj gościnności, by nikomu nie przeszkadzać w sam dzień Nowego Roku. Dla mnie była to wielka atrakcja – być w jednym dniu z wizytą w kilku domach i jeszcze w naszym domu cieszyć się gośćmi – nawet trudno było znaleźć czas na nasze modlitwy, a trzeba było i tego pilnować, bo jakże inaczej? Jednak w tych dziesięciu dniach pierwszeństwo dajemy poganom, bo może z naszych spotkań zrodzi się jakiś katechumen. Na ten temat jeszcze będziemy rozważać.

Szare dni po Nowym Roku

Wróciliśmy do normalnych zajęć. Ja nawet już zacząłem katechizować, co mnie dużo pracy kosztowało, i znowu opracowuję kazania, ale już bez większego lęku.

Pamiętam – była to ostatnia niedziela stycznia. Spowiadałem, miałem sumę z kazaniem, potem zabrałem się do zbiorowej katechizacji młodzieży katolickiej. W czasie lekcji wchodzi katechetka i podaje mi telegram. Uśmiechnąłem się i pytam co on oznacza. Odczytuje mi go i tłumaczy zarazem, że w miejscowości Tomariouru jest śmiertelnie chora młoda nauczycielka i prosi o zaopatrzenie św. Sakramentami. Znałem ją, gdyż ze dwa razy była w przejeździe i nocowała u nas, ale jechać zaopatrzyć – pocieszać, a może jeszcze przyjdzie pogrzebać – tego się bałem, bo to jeszcze nie w mojej mocy... Mówię zatem katechetce, że u siebie na górze jest o. Paulin. Odpowiada, że była u niego, kazał pójść do mnie, bo on jechać nie może, cierpiąc dzisiaj na żołądek i uśmiechnęła się dodając: teraz częściej będzie go bolał... Tomariouru było odległe od Maoka około 450 km – dojazd pociągiem.

Poszedłem do o. Paulina, że jechać nie mogę, bo gdyby wypadł pogrzeb, nie dam sobie rady. Ale o. Paulin mówi: wszystko ma swój początek i tu też musisz zacząć. Na wszelki wypadek dam ci w transkrypcji kazanie pogrzebowe. Gdybyś nie miał czasu sobie go przyswoić, możesz je z powodzeniem odczytać. Wziąłem kazanie, przygotowałem sobie walizeczkę, włożyłem do niej wszystko, co potrzebne

do Mszy św. nie zapominając naturalnie o winie, hostii i komunikantach, jeść mi się nie chciało, bo w nerwowym napięciu czekałem na godzinę odjazdu.

Przyszedł do mnie o. Paulin uśmiechnięty – i tym mnie rozbawił. No – pyta się – niczego nie zapomniałeś? Chyba nie odpowiedziałem, ale boję się, że jeszcze dzisiejszej nocy zapomnę, że mam język w „gębie”. Nic nie będzie, mówi – zobaczysz, jaki zadowolony wrócisz. Już walizkę do ręki wziąłem, a tu słyszysz, co mówi o. Paulin: jedziesz do rodziny katolickiej, więcej tam katolików nie ma, w razie śmierci pošlij telegram do Esutori, oto adres – przyjadą ci zaraz na pomoc. I pamiętaj jeszcze jedno, że ojciec chorej, również nauczyciel, już kilka lat nie praktykuje. Weź to sobie do serca! Wrócił mi pogodny nastrój i z uśmiechem powiedziałem: „już wziąłem sobie i do serca i do głowy” – za to walizeczka już lżejsza, a Duch Św. na pewno pomoże. Itte mairimasu! Sayonara! /niebawem wrócę, do widzenia/.

Pierwszy mój mały dziunkai

Pociąg ruszył. Nad brzegiem morza i wśród piętrzących się gór wiły się szyny kolejowe. Rozmarzyłem się nad moją kilka miesięcy temu skończoną podróżą. Tak niedawno – a inne uczucia wtedy, a inne dzisiaj mi towarzyszą. Nikt tym razem nie przyłączył się do mnie, raczej myśleli ludzie podróżujący nad tym, jakby się ułożyć i odpoczywać, bo noc zapadła. Ja nie myślałem o śnie, nie myślałem też o chorej, ani o ewentualnym pogrzebie. Umysł mój rozplątywał tylko to, czy będę umiał rozmawiać z nauczycielem, który parę lat temu przyjął katolicyzm i już zdążył kilka lat nie praktykować, czy on zechce ze mną rozmawiać, a jeśli tak – to czy będę mógł znaleźć odpowiednie słowa, którymi mógłbym go ująć? A jednak sen silniejszy od wszystkiego, zasnąłem. Jak długo spałem nie wiem, szybko oprzytomniałem i już znowu głowa pełna moich pierwszych trosk i tym samym zapomniałem o tym, co wziąłem do serca...

Przychodzi młoda konduktorka, więc pytam spokojnie „Tomarioru wa i tsu desho-ka? /kiedy będzie Tomarioru/, odpowiedziała – „Tagi no teishaba desu” /następna stacja/. Poszedłem do wyjścia – za chwilę pociąg zatrzymał się i wysiadłem na jasno iluminowanym peronie stacji Tomarioru. Północ mija... jestem tu pierwszy raz, patrzę stoi policjant, więc do niego się zwracam – to najpewniejsze. Przybliżyłem się, podaję mu zwyczajem japońskim wizytówkę i tłumaczę, że

przyjechałem tu pierwszy raz, chcę dostać się do domu nauczyciela Oikawa, a chyba trudno mi będzie w nocy ten dom odnaleźć. Grzeczny policjant odpowiada: pójdę razem, to jest niedaleko i zaprowadził mnie. W drodze pyta się, po co przyjechałem – odpowiadam, że córka jego jest chora i wezwano mnie, bym udzielił sakramentów, bo to rodzina katolicka, zatem z obowiązku przyjechałem. Policjant miał głupią minę, a dopiero później zorientowałem się dlaczego. Otóż ja znowu „strze-liłem gafę” – mianowicie – sakrament po japońsku nazywa się „Hiseki”, a ja użyłem słowa „kiseki”, co oznacza cud. Stąd ciekawy policjant pyta się, czy podejmuję się ją w cudowny sposób uzdrowić? Zdawało mi się, że kpi ze mnie i odpowiedziałem zdenerwowany, że jestem gotowy nawet i pogrzeb odprawić, gdy umrze... Zostawił mnie przed domem i poszedł, a ja za nim słałem bardzo serdeczne podziękowania za grzeczność... Tak to rozmawiał kapłan katolicki z pogańskim prostodusznym policjantem i rozeszli się, chyba niezbyt dobrze o sobie myśląc, a przecież nie zawinił, ani jeden, ani drugi.

W oknach mieszkania p. Oikawa pali się światło. Otworzyłem drzwi do przed-pokoju i zawołałem „Go men kudasai” – w drzwiach stanął nauczyciel wraz ze swą małżonką i witają mnie. Wyczułem pewną dozę sympatii do mnie, bo gdy się przedstawiłem, usłyszałem szept pani domu: dobrze, że młody przyjechał. Rzu-ciłem pytanie: czy Eiko żyje? – Tak, odpowiadają i czeka. Wskazali mi rodzice pokoik, w którym leżała Eiko, a sami usunęli się do innego pokoju. Przywitałem się z chorą i prosiła zaraz o spowiedź. Wypowiadałem i na prośbę jej udzieliłem Sakramentu Namaszczenia, uprzednio prosząc rodziców, by weszli do pokoju. Mia-łem zamiar zaraz odprawić Mszę św., by udzielić Komunii św., ale chora prosiła, by przywołać rodzeństwo, bo się chce pożegnać przed śmiercią. Przyszła jej star-sza siostra i młodsze rodzeństwo, wszyscy wpatrują się w nią, ojciec dał jej jakiś zastrzyk wzmacniający, a wtedy Eiko patrzy w ojca i cichym odzywa się głosem: „Ojcze idę już do nieba, proszę Cię nie zapominaj o Bogu”. Skończyło się jej życie młode, zniszczone gruźlicą.

Odmówiliśmy krótkie modlitwy za konających, a następnie wspólny różaniec za jej duszę. Ojciec kazał wszystkim opuścić pokój, zostaliśmy sami i po niedługiej chwili odbył spowiedź z kilku lat, był dobrze przygotowany. Prośba córki i łaska Boża zrobiły swoje, mnie wszelkie trudności ominęły. Nie kładłem się na spoczy-nek, bo i nie mogłbym zasnąć po tak nagłym przeżyciu, z ojcem i matką omówili-śmy szczegółowo pogrzeb, gdyż według japońskiego zwyczaju nie wolno zbyt długo odkładać pogrzebu od chwili śmierci.

Nie ma tutaj cmentarza grzebalnego, gdyż nam pozwolono mieć cmentarze tylko w miejscowościach, gdzie kapłan mieszkał na stałe. Dziś wieczorem odbędzie się już u pogan modlitwy za zmarłą wraz z kazaniem, przez całą noc będzie stypa / uczta pożegnalna przy trupie/, jutro rano w domu przy nieboszczce odprawię Mszę św. pogrzebową i odprowadzimy zwłoki do krematorium, tam będzie symboliczny pogrzeb, a prochy zsypane do urny kiedyś rodzina przywiezie do Maoka, by urządzić wtórny pogrzeb i złożyć je na cmentarzu. Tak ustaliliśmy.

Zanim to nastąpiło, rychło rano wypowiadała się reszta rodziny, odprawiłem Mszę św., w czasie której wszyscy byli u Komunii św. w intencji zmarłej, a po śniadaniu poszliśmy do stolarza, by zrobić coś w rodzaju trumny i telefonicznie wezwaliśmy delegację katolików z Esutori. Miałem dość dużo godzin czasu wolnego, który starałem się poświęcić na przyswojenie sobie kazania. Ciężko mi to szło, gdyż miałem silne zapalenie okostnej i okropny ból zęba. Czekałem, by wszystko jak najprędzej ukończyć i wrócić do Maoka. Nadszedł wieczór.

Po południu z Esutori przyjechała delegacja katolików na pogrzeb w liczbie 11 osób – to mi wielką ulgę przyniesie, gdyż w Tomarieru to jest dopiero pierwszy pogrzeb katolicki. Zaraz zajęli się zwłokami zmarłej, pięknie ubierając, włożyli ją do „niby trumny”, następnie wystawiono kilka ścian między pokojami i z mieszkania stała się duża sala, która dziś i jutro przyda się na ceremonie pogrzebowe. Ściany wystawiają się łatwo, bo są one osadzone w ramach, a zrobione z trzciny bambusowej i papieru. Pod jedną ze ścian ustawiono podwyższenie wysokości jednego metra, nakryto białym suknem i ustawiono „niby trumnę” otwartą. Obok tego podwyższenia ustawiono wieńce, a pod samym podwyższeniem niski stolik, na którym położono laseczki, kadzidła, dzwoneczek i świece w kilku paczkach, by poganie mogli się według swego zwyczaju modlić.

Rodzina bliższa i dalsza już się zebrała, sąsiedzi i znajomi gromadzą się, a ja czekam na ósmą godzinę, bo umówiono nabożeństwo, które tutaj musi się punktualnie rozpocząć. Byłem rozgorączkowany i nerwowy, ale udawałem bardzo opanowanego.

Rozpoczęły się modlitwy. Najpierw z katolikami zaśpiewaliśmy po dwie zwrotki dwóch pieśni za zmarłych, odmówiliśmy dziesiątek różańca, by wieloma zdrowaśkami nie nudzić zebranych pogan, z dwoma mężczyznami odśpiewałem nasze łacińskie „Libera” i wygłosiłem kazanie, powoli, półgłosem, chyba bardzo „żałośnie” i jeszcze odmówiliśmy modlitwy specjalne na pogrzeb przepisane. Podziękowałem wszystkim za uczestnictwo w naszych modłach, a potem poganie podchodzili do stolika przy trumnie i zapalali kadzidło w laseczkach, które stawiali w naczynku

wypełnionym piaskiem, zapalali świece, dzwonili dzwoneczkami, a to wszystko w tym celu, by wzbudzić w sobie uczucia modlitewne i pocieszyć zmarłą.

Po tzw. przez pogan oddaniu czci zmarłej, następuje uczta pogrzebowa, inaczej niż u nas, bo spożywają ją w obecności nieboszczyka. Ustawiają sobie niskie stoliki, gdzie tylko jest miejsce i uczują, piją tradycyjną „sakę” /wódka narodowa z ryżu/, palą fajki i papierosy, żartują sobie, śmieją się w niebogłósy, tak to żegnają się ze zmarłym człowiekiem. A rodzina? Rodzina nie bierze udziału w tej uczcie, najwyżej ktoś z rodziny pomaga obsługiwać gości. Przy gościach rodzina nie płacze, nie rozpacza, bo wychodzą z tego założenia, co kogoś może obchodzić ich smutek.

O. Paulin zdążył mi powiedzieć, że w razie pogrzebu, mogę z gośćmi coś zjeść, a potem przeprosić i iść spać, gdzie się da, a gdyby miejsca nie było, to po prostu iść do hotelu, aby tylko nie siedzieć całą noc. Oni bowiem rzeczywiście przy nieboszczyku uczują aż do rana. Nie bardzo w to wierzyłem, dopóki się sam nie przekonałem. Z resztą wszystkie zwyczaje szczegółowo mam zamiar opisać w innym miejscu.

Co dalej było ze mną? Zjadłem trochę z tej uczty pogrzebowej bez apetytu, bo nieboszczka patrzyła na mnie, po chwili wstałem i wpierw prostuję nogi, które dzisiaj już zbyt długo były podgięte. Podchodzi do mnie jedna z niewiast i pyta – czy mi się coś może stało? Nic – odpowiadam, tylko chciałbym się zobaczyć z gospodarzami, czy mają jakieś miejsce dla mnie, bo czuję się zmęczony – chciałbym spocząć. Owa niewiasta wpadła do kuchni i powróciła z matką zmarłej i ta zaraz mną się zajęła.

Wprowadziła mnie do pokoiku, w którym zmarła jej córka Eiko. Nie było tam jeszcze posprzątane, bo i kiedy, skoro parę godzin temu włożono Eiko do trumny. Wskazuje mi na posłanie zmarłej i mówi: mały to pokóik, przytulny, jest to miejsce, na którym Eiko zakończyła swoje życie. Ojciec przecież do niej przyjechał i ją pobłogosławił na drogę wieczności, to też nie będzie się brzydził i na jej miejscu się położy. Naturalnie – odpowiedziałem i myślałem, że przynajmniej pościel i bieliznę zmienia. Tymczasem nie... po chwili weszła matka zmarłej i mówi żebym się położył – tu nikt nie będzie przeszkadzał.

Chciałem być sam – zostałem sam... No i powoli rozbieram się i kładę... Prześcieradło, na którym prawie do tej pory spoczywała Eiko, poduszka z plew ryżowych, zwinięta w ręcznik, na niej spoczywała Eiko, kołdra z powłoką pod którą leżała Eiko – z jednej strony niedojedzone sucharki przez Eiko, z drugiej naczynie z... płwocinami Eiko. Hm... trzeba się odpowiednio nastawić, by odpocząć, a tu ząb niesamowicie dokucza, głowa rozbolała, przez drzwi z papieru słyszę, co dzieje

się przy stolikach biesiadników żegnających Eiko. Przykryłem się do pasa – wyżej nie mogłem, bo wszystko było czuć trupem i tak chciałem o niczym nie myśleć i zasnąć spokojnie, bo na drugi dzień nie mam już kazania, ani żadnej spowiedzi – tylko Mszę św. i pogrzeb. Jednak zasnąć nie mogłem, bo i jak? Światło świeciłem dla ostrożności, a tu co chwileczkę jedna, dwie lub trzy kobiety naraz otwierają drzwi i patrzą jak ksiądz katolicki śpi... i litują się nad biedakiem: czy ma rodzi-ców, rodzeństwo, aż z Polski przyjechał do Japonii. Zmęczony biedak ładnie sobie zasnął – niech śpi jak najlepiej...

Północ minęła, a ja co chwilę słyszę te same słowa... Już mnie opanowa-ła ogromna wściekłość, bo przecież nie mogłem zasnąć z powodu bólu i tru-piego zapachu. Około godziny drugiej w nocy weszli przyjezdni katolicy i cicho pokładli się na matach i smacznie chrapali, a ja przechodziłem czyścić za... Eiko.

Spali jeszcze wszyscy goście w moim pokoiku, cicho było po ucztujących, w kuchni tylko kobiety głośno rozmawiały. Poszedłem tam – zabieram się do go-le-nia i zmywania z siebie zapachów trupich, które mnie prześladowały. Odświeżony, przygotowałem sobie możliwy ołtarzyk i wszystko do Mszy św. – następnie odmó-wiłem brewiarz przy nieboszczce /nikogo tam nie było/. Niewiasty proponowały mi śniadanie, ale wytłumaczyłem pogankom, że nam nie wolno pokarmów spo-żywać, zanim nie odbędziemy naszego obowiązku /i tu krótko wytłumaczyłem Najśw. Ofiarę, ale widziałem po minach, że nic z tego nie rozumiały/, tylko zdzi-wione kiwały głowami, tym bardziej, że i katolicy powiedzieli, że nie mogą jeść, aż się wszystko skończy.

Około godziny 9-tej zaczęli schodzić się już na pogrzeb. Gdy już się zgroma-dzili, ubrałem się do Mszy św. i rozpocząłem Najśw. Ofiarę. Wierni recytowali odpowiednie części w ich języku, co ślicznie harmonizowało z ceremoniami. Cie-kawi przypatrywali się Mszy św., którą na pewno oglądali po raz pierwszy. Rów-nież obserwowali wiernych przyjmujących Komunię św. Po Mszy św. odśpiewałem modlitwy pogrzebowe i ze zwłokami wyruszyliśmy poza miasto w stronę kremato-rium. Tutaj odprawiłem symboliczny pogrzeb – odmawiając wszystko tak jak u nas, następnie posypałem trumnę piaskiem i trumnę wsunięto do pieca krematorium. Nieprzyjemne to robi wrażenie. Za godzinę prochy zsypano do urny i wszyscy wrócili do domu żałoby na posiłek.

Ja już odprężyłem się nerwowo. Myślałem tylko, by czymkolwiek się posilić i jak najprędzej powrócić do siebie. Cała rodzina zmarłej i wierni z Esutori odprowadzili

mnie na stację kolejową. Wchodząc na peron, zauważyłem tego samego policjanta, który mnie zaprowadził do p. Oikawa, z uśmiechem pokłoniłem się i mówię: „mo ikkai arigato, sayonara” /jeszcze raz dziękuję – do widzenia/, a on z pewną ironią: „Kiseki ga dame dehita daro?” /i cuda nie pomogły co?/, a ja ze spokojem zwracając się do niego rzuciłem słowa: głupi jesteś, tu nie trzeba było cudów, tylko sakramentów – ty nie wiesz, co to oznacza, a jeśli chcesz wiedzieć, przyjedź do Maoka, to ja ci będę powoli tłumaczył.

Podśmiewali się odprowadzający mnie goście i jeden do mnie się zwracając – powiedział: Proszę ojca on na pewno nie przyjedzie. Odpowiedziałem: dlatego mówiłem „jeśli chcesz”... Pociąg nadszedł i z radością wsiadłem, wybrawszy sobie odpowiednie miejsce na spanie, odmówiłem brewiarz i na refleksje, bo czasu mam około sześć godzin.

Gorącym sercem dziękowałem Bogu, że wszystko jakoś możliwie minęło: chorą zaopatrzyłem jeszcze przytomną, byłem przy jej śmierci, pogrzeb wypadł możliwie, konająca sprowadziła łaskę Bożą do serca ojca, ja tylko byłem potrzebnym narzędziem w ręku Chrystusa. Zatem jest czym się cieszyć, ale nie ma się czym przechwalać; bo ja tu nie mam żadnej zasługi...

Spodziewano się mnie o tej porze, toteż nie zdziwiłem się, że na dworcu była po mnie katechetka ze swoim bratem. Padło dużo pytań i tyleż odpowiedzi – prosiłem o cierpliwość, a wszystko opowiem przy ojcu Paulinie. On również po przywitaniu się zaraz rzuca pierwsze pytanie – czy zdążyłem zaopatrzyć, czy była jeszcze przytomna, co z jej ojcem, a dopiero na samym końcu – jak odbył się pogrzeb. Opowiedziałem wszystko raczej z humorem, nie tragizując niczego. Uśmiali się wszyscy z mojej pomyłki „hiseki”, a „kiseki” /sakramenty, a cuda/. Kiedy zostaliśmy sami, ojciec Paulin powiedział: no już sobie radzisz – chciałem być taki, pierwszy ogień przeszedł sam nie licząc na czyjąś pomoc i udało się. Znasz już dużo słów, a także zaczynasz myśleć w duchu japońskim i nawet żartować – to już wystarczy. Podniosło mnie to na duchu i już na drugi dzień wziąłem się do przygotowywania różnych okolicznościowych przemówień na wszelki wypadek. Czułem się gotowy jeździć i na pogrzeby i na śluby – wesela, i na wszelkiego rodzaju pocieszenia przedśmiertne... ale sam czułem jeszcze wiele – oj wiele braków. Postanowiłem sobie, że muszę wreszcie nauczyć się siedzieć na swoich piętach jak najdłużej, muszę przyzwyczaić się jeść wszystkie potrawy japońskie, a jeść tak – jak oni jedzą... z głośnym mlaskaniem na znak, że mi wszystko bardzo smakuje.

O. Paulin opuszcza naszą Prefekturę Apostolską. Zostaję sam na placówce w Maoka

Wojna przeszkodziła o. Paulinowi – nie mógł powrócić do Polski. Kongregacja Rozkrzewienia Wiary nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo nam potrzeba misjonarzy... Skoro o. Paulin prosił o pozwolenie na powrót do Polski, miał w tym swoje osobiste motywy, o których już wspominałem – a nie mogąc wyjechać, pogodził się z obecną sytuacją, że dalej zostanie na naszej placówce. Normalnie zatem pracując, w niedalekiej przyszłości planował dla mnie otworzyć nową stację misyjną w miejscowości Esutori.

A tu tymczasem niespodziewanie przychodzi telegraficzne przeniesienie kierujące o. Paulina do Shanghaiu. Potrzeba bowiem tam było kapłana ze znajomością języka francuskiego dla dzielnicy francuskiej i języka japońskiego, jako że wielu Japończyków – katolików osiedliło się w Shanghaiu po zajęciu go przez wojska japońskie.

Długoletni misjonarz głęboko odczuł tę decyzję Stolicy Apostolskiej. Prysnęły bowiem plany budowy nowej placówki. Wierni, gdy doszła ich ta wiadomość, że o. Paulin ma ich opuścić, bardzo byli wzruszeni, gdyż o. Paulin był przez nich nadzwyczaj kochany i szanowany. I ja boleśnie odczułem mającą nadejść w niedługim czasie naszą rozłąkę, bo wprost „rozkochałem” się w o. Paulinie – to raz. A z drugiej strony – to lęk, co będzie ze mną, bo dopiero jestem w trakcie uczenia się języka i zaczynam „raczkować” w pracy misyjnej.

Zdawałem sobie sprawę, że dotychczas każdy nowoprzybyły misjonarz przebywał ze starszym misjonarzem przynajmniej przez dwa i pół roku – miał więc możliwość przygotowania się językowo i praktycznie do tak odpowiedzialnej pracy. A ja z o. Paulinem przebywałem zaledwie 10 miesięcy.

Zmiażdżony tak nagłą i niespodziewaną wiadomością o. Paulin przyznał się, że nie mógł spać przez całą noc, bo on bardzo kochał naszą Prefekturę, Japończyków – i tak wrósł w tę glebę Chrystusową od niedawna uprawianą i mówił, że tak głęboko zapuścił w niej korzenie, że trudno mu będzie w tej chwili je wyrwać....

Podczas śniadania nie wiedziałem – jak zacząć rozmowę. Spostrzegawczy o. Paulin zauważył mój smutek i zmartwienie – uśmiechnął się i mówi: „No, ojciec – nie miej miny nieboszczyka! Wszędzie są dusze nieśmiertelne – musimy zawsze podporządkować się władzy. Nieraz wypadnie Ci – jak i u mnie bywało – składać ofiarę z siebie. Mamy dwie Matki: Kościół i Zakon, one nas bardzo kochają...

Bywa czasem tak, że zbyt silnie przytulają nas do swego serca. Ale to nic... Przecież wyrzekliśmy się własnej woli. Jeszcze mamy czas na smutki... Dziś jest dzień świętego lutego, a mam się stawić na miejsce dopiero ósmego marca”. Uśmiechnął się stary misjonarz...

Tak chciałby jeszcze raz odwiedzić wszystkie placówki naszej Misji, ale chyba czasu mu nie wystarczy. Przynajmniej te większe odwiedzę – mówi – postaram się przy tej okazji jak najlepiej usposobić naszych wiernych do ciebie, bo przekonasz się, że przywiązanie Japończyków do swego kapłana jest wprost zwierzęce. Trudno im się przyzwyczaić do nowego, chociażby był najlepszy, ale tym się nie przejmuj!

Rzeczywiście w trzecim dniu po takiej naszej rozmowie wyjechał żegnać się z tymi, których w większości nauczył, chrzczył i długie lata im jako duszpasterz służył.

Podczas jego nieobecności dałem znać o tej smutnej dla nas nowinie o. Prefektowi Apostolskiemu. Za dwa lub trzy dni przyjechał. Rozmawialiśmy sami... Co teraz będzie? – pyta, a dasz to sobie radę? Odpowiedziałem, że po przyjeździe, gdy minęło pięć miesięcy – zacząłem po japońsku spowiadać, gdy minęło osiem miesięcy zacząłem mówić kazania, przygotowując je sam, tylko dałem do wystylizowania, bez pomocy o. Paulina, co go bardzo cieszyło. A teraz już zaczął się jedenasty miesiąc, sam widzę, że nie ma innego wyjścia i musimy sobie jakoś radzić. Proszę być spokojny – nie będę prosił o pomoc w żadnym wypadku, bo ojcowie mają swoje placówki i dużo pracy, w dodatku mieszkamy zbyt daleko od siebie. Mam zresztą dobrą katechetkę, która mi chętnie pomoże we wszystkim.

O. Paulin powrócił z terenu w dobrym humorze, ale zbyt często głęboko się zamyślał. Nie przeszkadzałem mu, spełniając to, co do mnie należało, a właściwie to już wszystko należało do mnie. On zaś sortując już do podróży swoje rzeczy, niektóre z nich zostawił do mojego użytku.

Pewnego dnia wpadłem do jego pokoju – potrzebując rady i pomocy. Akuratnie wtedy przeglądał stare listy i jeden z nich dał mi przeczytać. Czytaj – powiada – to od o. Beniamina z Rzymu – rok już leży. Znałem go dobrze, więc chwyciłem list i pilnie go czytałem. Między innymi wyczytałem takie słowa: Niedługo przyjedzie do was na pomoc o. Gustaw, nie jest on jakimś entuzjastą, jakimi byli inni, ale o ile go tutaj poznaliśmy, będzie dobrym wołem roboczym. Okazujcie mu dużo serca, bo to człowiek nadzwyczaj uczuciowy. Na prośbę o. Generała i moją – chętnie zgodził się w przyspieszonym tempie ukończyć kurs, by jak najprędzej być u was. Siedząc – po przeczytaniu – wpadłem w głęboką zadumę... Stał mi przed oczyma Rzym, nasze Międzynarodowe Kolegium, koledzy i przeacny o. Beniamin Ryziński taki

pocziwy – taki dobry... Myśl ulatuje wstecz – do naszego Seminarium i kolegów. Powróciły tak niedawne wspomnienia – takie miłe i radosne... O. Paulin przerywa moją zadumę i pyta się: o czym tak myślisz? Odpowiedziałem: Jestem „filius subiugalis” i zacząłem się śmiać. Co to jest? – pyta. Mówię, że to według Pisma św. wół albo osioł, który ciągnie, a raczej zaczyna ciągnąć. Tak nazywaliśmy się w żartach, zostawszy diakonami, a tu o. Beniamin prawie tak samo mnie nazwał – to tylko mi się przypomniało.

Termin wyjazdu o. Paulina przybliża się. Wierni przychodzą do mnie, by ustalić termin uroczystości pożegnalnej. No i w jaki sposób to urządzimy, a także czy będziemy na nią prosić niekatolików, przyjaciół i sympatyków naszej Misji. Naturalnie – odpowiedziałem – prosimy wszystkich, którzy kochają o. Paulina. I tak się stało.

Pełna była sala parafialna, pełen był korytarz naszej stacji misyjnej. Wszyscy zaproszeni goście przybyli, w większości z rodzinami. Blisko był już wieczór, a od samego rana niewiasty krzątały się, by przygotować jak najlepszą kolację na pożegnanie. Chociaż – jak to zwyczajnie u Japończyków bywa – mieli wszyscy wesołe miny, to jednak widać było, że głęboko przeżywają ten dla wielu, a szczególnie dla mnie smutny wieczór. Dzieci wystąpiły z piosenkami i tańcami, którymi zawsze zachwycał się o. Paulin, a starsi spokojnie siedząc, wspominali razem z o. Paulinem spędzone lata. Późno już było, gdy rozeszli się do swoich domów.

Na drugi dzień rano o godzinie 6-tej już gromadzą się ci sami ludzie. Widać smutek na ich twarzach. Tak katolicy, jak i poganie byli w kościele na Mszy św., którą odprawił o. Paulin, ofiarując ją w intencji wszystkich, którzy mu pomagali w pracy i darzyli przyjaźnią. Po Mszy św. w pośpiechu zjedliśmy śniadanie i po chwili idziemy w stronę dworca kolejowego. Dziwny był to pochód... Właściwie dla mnie był on dziwny, bo Japończycy są przyzwyczajeni do tego rodzaju pochodów, gdyż tak żegnają każdego idącego do wojska, a jeszcze uroczyście żegnają wszystkich wezwanych na wojnę. Mimo, że była godzina, o której dzieci powinny być w szkole, wiele z nich tak katolików, jak i pogan wzięło udział w tym pochodzie, trzymając w jednej ręczce z bibułki zrobioną chorągiewkę japońską, a w drugiej polską i powiewały nimi. Splotają się we mnie uczucia... Staram się dla każdego znaleźć jakieś słówko, czy też na wesoło zagadnąć – jakoś to mi nie wychodziło.

Nadszedł pociąg – wsiedliśmy razem z o. Paulinem, wychylając się przez okna. W oczach o. Paulina widać łzy... Pociąg rusza – ludzie proszą, by o. Paulin na siebie uważał i rozbrzmiewa długo ciągnące się „sayonara” /do widzenia/ aż zniknęli

nam z oczu... Siedzieliśmy dłuższy czas w milczeniu, wreszcie cicho odzywa się o. Paulin „Niepotrzebnie ojciec jedziesz – masz teraz dużo pracy, a ja nie jestem dzieckiem”. Odpowiedziałem, że muszę jechać, bo może widzimy się ostatni raz, a tyle Ojcu zawdzięczam, a zresztą nieładnie by to było, gdybym nie odwiózł ojca aż do portu Odomari.

Zatrzymaliśmy się w Toyohara, na drugi dzień pojechaliśmy z ojcami i bratem do portu Odomari. Tu u o. Rafała przenocowaliśmy i po Mszach św. i śniadaniu towarzyszyliśmy o. Paulinowi do portu, gdzie wsiadł na okręt idący na wyspę Hokkaido. Z tejże wyspy z portu Otaru ma się udać wprost do Shanghaju.

Żegnaliśmy najstarszego z nas misjonarza ze smutkiem, bo oto ubył jeden z pośród nas, a wojna nie pozwoli nikomu z naszych ojców przyjechać nam na pomoc, a spodziewaliśmy się w tym roku przyjazdu nowo wyswięconego o. Eustachego Łosia.

Tego jeszcze dnia wróciłem do Toyohara, przenocowałem, a następnego dnia, tj. 28-go lutego od wieczora zostałem już sam w Maoka.

W domu zapanował grobowy nastrój – tego wieczora ja milczałem – milczała i moja służba. Czułem się bardzo zmęczony i przygnębiony, ale wstałem normalnie, tylko zapomniałem dzwonić na „Anioł Pański”, wyręczyła mnie w tym katechetka. Postanowiłem sobie i w tym nie zapominać się, ale być służbistą, jakim był o. Paulin.

Po Mszy św. i śniadaniu zabrałem się do porządkowania mieszkania po o. Paulinie. Kucharka i katechetka przyszły mi pomagać i pytają, czy mam zamiar przenieść się na piętro. Odpowiedziałem, że nie, jedynie rzeczy kancelaryjne przeniesiemy do mnie, a ja będę mieszkał do końca tak, jak zamieszkałem na początku i sądzę, że mi tu będzie bardzo dobrze i wygodnie i nie muszę stale po piętrach skakać. Prosiłem przy tej okazji, by obydwie niewiasty do mnie odnosiły się tak, jak do o. Paulina i darzyły mnie takim samym zaufaniem. Żyjemy w zgodzie i razem pracujemy, pracujmy tak jak najdłużej – dodałem. „To ojciec nas zatrzymuje?” – pyta nieśmiało katechetka. A co bym teraz bez was począł – odpowiedziałem. Kiedy indziej o tym porozmawiamy, teraz mamy robotę i późna już pora – o yasumi nasi! /dobranoc/.

Niespodziewanie nadszedł wieczór. Jestem sam... Dziwne to uczucie... W takich to właśnie okolicznościach sam zostałem i przyznam się, że wcale nie czułem się przygotowany do samodzielnej pracy. Niewiasty na pewno spokojnie śpią – a ja pójdę jeszcze do kościółka – do Pana Jezusa. Wyszarpywałem ze serca własne moje prośby, a potem zamyśliłem się i już po japońsku powiedziałem sobie: Ten no muneega okonawaren! /dziej się wola nieba!/. ... Poszedłem na spoczynek.

Spałem znacznie lepiej niż poprzedniej nocy. Znacznie wcześniej wstałem niż zwykle i czułem się spokojniejszy i wypoczęty. Poszedłem wcześniej do kościoła, ale nie byłem pierwszy, bo już tam modliły się katechetka i jej matka / kucharka/. Gdy przyszła pora, wyszedłem zadzwonić na „Anioł Pański” i w tym samym czasie jawi się przed świątynią młody bonza /bosan, tj. kapłan buddyjski/. Również kilkakrotnie bił w ich gong. Ja stałem i przypatrywałem mu się chwilę – on również przestał dzwonić i patrzył na mnie. Ponieważ już się znaliśmy, zatem uśmiechnąłem się, a i on bardzo serdecznie się uśmiechnął. Był w moim wieku, a jego współtowarzysz w wieku o. Paulina. Przemówił do mnie: w przeddzień wyjazdu był u nas wasz starszy ksiądz – on zawsze był bardzo dobry i miły, a ty chyba teraz czujesz się bardzo osamotniony. Przyjdź do nas kiedykolwiek, bardzo wielką nam sprawisz radość. Nie masz przyjaciela, my ci zawsze będziemy przyjaciółmi. Wzruszyła mnie ta troska o moją samotność. Podziękowałem serdecznie i prosiłem, by mnie wpierw oni odwiedzili, a on mi mówi: zostałeś nowym gospodarzem, wypada więc byś pierwszy nam wizytę złożył. Racja! Pomyślałem sobie i przyobiegałem wizytę. Tak to z rana rozmawiał kapłan Chrystusa i kapłan Buddy.

Uczono mnie w Rzymie, że obojętnie jakie ma ktoś przekonanie i wierzenia – stosunki międzyludzkie – to ważna rzecz. Uczono mnie także, że każdego mam uważać za brata, bo każdy ma duszę nieśmiertelną, każdy oddaje cześć jakiemuś bóstwu i w jakiś sposób chce temu bóstwu służyć. A gdy nie ze swej winy nie zna prawdziwego Boga, to oddawanie czci bóstwu, czy bożkom jednak odnosi się do prawdziwego Boga. Człowiek powinien kochać drugiego człowieka i prowadzić go do Boga. Jak można by doprowadzić bliżej Boga gdybyśmy się nie spotykali?! Nie myślałem wcale, że moi sąsiedzi zainteresują się naszą religią, ale postanowiłem jak najprędzej złożyć wizytę bonzom.

Następnego zaraz dnia powiedziałem służbie, że idę do naszych sąsiadów bonzów i wkrótce wrócę. Nie byłem jeszcze nigdy w mieszkaniu bonzów i w ogóle w mieszkaniu duchownych pogańskich wyznań. Gdy minąłem ich świątynię /tera/, znalazłem się przed ich mieszkaniem. Na bramie zamykającej podwórko, zauważyłem napis: niewiastom wstęp wzbroniony. Trochę się zdziwiłem, a wszedłszy do przedsionka zawołałem, jak woła się w każdym domu, by ktoś się pokazał. I zjawił się młodszy bosan, przywitał mnie serdecznie i wprowadził do wnętrza domu. Wnętrze domu nie różniło się od innych mieszkań – było skromnie urządzone – przyjęło mnie bardzo serdecznie i gościnnie. Zauważyłem, że ani posiłku nie przygotowuje,

ani nie usługuje żadna niewiasta. Dowiedziałem się później, że nawet nie mogą trzymać żadnego stworzenia rodzaju żeńskiego.

W rozmowie miałem trudności, bo używali klasycznych wyrażań na wszystko, a ja nie wszystko rozumiałem. Dlatego poprosiłem, by się wyrażali jak najprościej i mówili wolniej, bo ja jeszcze się uczę języka japońskiego. W miłym nastroju spędziliśmy czas i wówczas dowiedziałem się, że w Japonii jest 52 odcieni buddyzmu. Moi sąsiedzi są ortodoksyjni – tzn. w prostej linii wywodzą się od pierwszych kapłanów Buddy. Regulamin życia mają bardzo surowy. Między innymi obowiązuje ich rano i wieczorem godzinna medytacja. Nie jest to medytacja – modlitwa jak u nas, ale jest to tak zwane „usiłowanie”, aby w ogóle o niczym nie myśleć /nirwana/. Czy to wam łatwo przychodzi? – pytam. Mówią, że bardzo trudno, ale z biegiem czasu dochodzi się do pewnego stopnia wprawy. Czy im w to wierzyć?...

Odcienie buddystyczne wywodzą się od ortodoksyjnych – mówi starszy bonza, ale nie mają tak głębokiego wykształcenia jak oni /ich „seminarium” trwa 7 lat, jest oparte na filozofii indyjskiej/, poza tym tamci bonzowie nie są tak szanowani jak oni, bo nie zachowują ubóstwa, z ludzi „zdzierają”... i nie zachowują celibatu. Starszy bonza powiedział: ścisły celibat i skrajne ubóstwo stwarzają uznanie i szacunek u ludzi, bo to istota prawdziwych kapłanów Buddy.

Rozmowy skierowałem na ideologie buddyzmu. Wypytywałem się o spojrzenie ich na człowieka i los człowieka, zagadnienie duszy itd. Wierzą w to, że każda dusza musie być szczęśliwa po śmierci człowieka. A że są ludzie różni, po śmierci jest sankcja taka, że dusza człowieka „nieszlachetnego” musi oczyścić się, przebywając do czasu w różnych zwierzętach, a po oczyszczeniu, człowiek rodzi się powtórnie już jako człowiek szlachetny i doskonały. Taki człowiek po powtórnej śmierci na pewno jest „półbogiem”, a więc szczęśliwym.

Po dość długiej wizycie /była to pierwsza/ poprosiłem, by pokazali mi wnętrze swojej świątyni. Zdziwieni byli, że jeszcze w niej nie byłem. Pięknie i bardzo bogato wyposażona świątynia... Liczne posążki ze złota i srebra, wspaniałe wnęki z czarnego dębu i szafki religijne – służą one do przechowywania prochów spalonych ciał za pewną, dość zresztą wysoką opłatą. Było co oglądać i podziwiać...

Po powrocie służba zagadnęła, dlaczego pierwsza wizyta trwała tak długo, wtedy wyjaśniłem wszystko jak ona wyglądała. W refleksjach po tej wizycie postanowiłem bliżej zapoznać się z buddyzmem. Tylko na to potrzebuję więcej czasu i muszę już mieć opanowane na tyle pismo, bym mógł sobie sam radzić w czytaniu.

Jak pracować bez dobrej znajomości języka...

Stale uczyłem się języka japońskiego, bo bez dobrej znajomości cóż można zrobić? Czasu mi to dużo pochłaniało, ale przecież chcę sam we wszystkim sobie radzić. A tu trzeba się przygotować do kazania, do lekcji katechizmu itd. Wprawdzie z wykładaniem katechizmu już nie miałem trudności, ale gdy ktoś z moich katechumenów miał większe wątpliwości – trudno mi było głębiej wyjaśniać.

Pewnego dnia po Mszy św. wchodzę do swojego mieszkania i widzę z okna / parapety okien są niskie/ jak nieznany mężczyzna chodzi w jedną i drugą stronę, przypatrując się kwiatom kwitnącym – to znowu w okno spogląda... Zaciekawilo mnie to i powiedziawszy mu „Dzień dobry” – zapytałem się, czy może do mnie przyszedł. Odpowiedział, że chciałby chwilę porozmawiać. Gdy go wprowadziłem do mieszkania, po przywitaniu się i przedstawieniu kim jest – zaraz powiedział, że jest hotelowym kucharzem i prosi, żeby mu udzielić Chrztu św. Nie mam jeszcze praktyki misjonarskiej, ale już słyszałem od o. Paulina i o. Dawida, że jeżeli ktoś w ten sposób swoją prośbę wyraża i przedstawia, to na pewno jest z tej grupy ludzi, którzy jako dzieci uczęszczali do niedzielnej szkoły misyjnej, bo już rozumie kim staje się przez Sakrament Chrztu św.

Dobrze – odpowiedziałem mu – chętnie ci udzielę, tylko jeszcze nie dzisiaj, bo przecież musisz się bodaj do tego przygotować, aby zrozumieć, jakich obowiązków podejmujesz się przez przyjęcie Chrztu św. Dlatego zaraz ułożymy się, jak czasem dysponujesz, byś mógł pobierać lekcje katechizmu. Zaznaczyłem też, że niedawno przyjechałem z Polski, więc jeszcze mam bardzo wiele braków w znajomości języka japońskiego. Ale jest u mnie katechetka /nauczycielka/ Japonka, ona może cię uczyć. A on na to odpowiada – że jest bardzo skromny – przecież on bardzo dobrze zrozumie co mówię i wolałby ze mną poznawać prawdy wiary, bo jako mężczyzna wstydziłby się, by się pytać niewiastę o coś, czego by nie rozumiał. Na pewno – mówi – my się będziemy rozumieć, a ja będę szczerze o wszystko się pytał. Zgodziłem się i tak ustaliliśmy nasze spotkania, że ja będę u niego w mieszkaniu hotelowym wieczorem, gdy on ukończy pracę, a on będzie przychodził do mnie rano przed rozpoczęciem pracy. W tym czasie katechetka przyniosła śniadanie. Przedstawiłem jej kucharza z hotelu jako naszego /shigansha/ katechumena i ją jako /dendofu/ katechetkę. Przywitali się, a kucharz bardzo serdecznie przeprasza katechetkę według ich ceremoniału, że od samego rana przeszkadza, ale

ona odpowiedziała, że bardzo się cieszy z tego spotkania i zaraz przyniosła i dla niego śniadanie.

Po śniadaniu on poszedł do pracy, a ja z katechetką komentuję moją rozmowę z kucharzem i ubolewam, że ciężko mi będzie z nim mieć dwie lekcje dziennie, bo przecież muszę przygotować się do nich, ale on tak prosił, że chce w szybkim tempie przygotować się do Chrztu św., więc uległem, a teraz tego żałuję. Pocieszała mnie pocziwa katechetka, że jakoś to będzie, a przejść taką próbę – to nawet dla mnie dobrze będzie.

Na drugi dzień wieczorem już poszedłem na pierwszą lekcję. Zadowolony wróciłem i zaraz w nocy przygotowuję lekcję na rano. I tak szło w kółko. Nabierałem wprawy i czułem, że zaczynam już myśleć na ich sposób, co mnie bardzo cieszyło. Po kilku dniach kucharz zwierzył mi się, jakie ma zamiary. Ja jakoś nie zadowolony z nich, po powrocie mówię katechetce: Mój katechumen opowiedział mi taką historię. Przeszło miesiąc temu żona zabrawszy dziecko i wszystkie pieniądze z domu uciekła w nieznanym kierunku, zostawiając pismo, żebym jej przypadkiem nie szukał, bo i tak do mnie już nie powróci. Dlatego chcę jak najprędzej przyjąć Chrzt i wziąć za żonę katoliczkę, a na pewno będzie mi wierna, bo ja przecież nie jestem złym człowiekiem. Jak zatem myślisz – pytam się katechetki – czy to jest czysta intencja przyjęcia wiary katolickiej? Ona odpowiada: proszę ojca, bywały już takie wypadki i naprawdę wszystko jakoś pięknie się potem układało. Różnie bowiem działa łaska Boża w sercach ludzi...

Odtąd bardziej dogłębnie obserwowałem katechumena. Mimo bowiem ciężkiej i wielogodzinnej pracy, dobrze się przygotowywał do każdej lekcji. Zrobił sobie już ołtarzyk w domu, w mieszkaniu i modlił się, jak mu to poleciłem. Dowiedziałem się, że ludzie, którzy z nim pracowali, wiedzieli po co ja przychodzę, bo niczego nie ukrywał, dokuczali mu na różny sposób /co nie leży w naturze Japończyków/ on jednak trwał dalej i wszystkie szykany znosił z cierpliwością – tłumacząc ludziom – mój Bóg więcej cierpiał i On mi to wszystko wynagrodzi. Podziwiałem go!

Po przygotowaniu i egzaminie już ustaliliśmy dzień Chrztu. Z wielkim przejęciem przyjął pierwszy Sakrament i zaraz też i pierwszą Komunię św. Wierni cieszyli się, że powiększa się ich gromadka i mówili: Proszę ojca – to znaczna osoba! Widzi ojciec, on nosi wąsy, a nie każdy kucharz je nosi, lecz tylko ten, który gotuje lub gotował dla cesarza lub rodziny cesarskiej. Dowiedziałem się później, że to prawda. Dlaczego te wąsy? Już w swoich wspomnieniach pisałem, że

Japończycy są nadzwyczaj czyści... ale mimo tej zewnętrznej czystości, czasem niejednemu... „coś” z nosa spadnie... A więc na wszelki wypadek taki kucharz nosi wąsy...

Z okazji chrztu tak „znaczej” osoby w sali parafialnej urządziłem skromne przyjęcie dla wszystkich, składające się z herbatki, ciastek i cukierków. A potem nasz nowy katolik przyszedł do mojego mieszkania i dość długo się zatrzymał. Wydobyl z chusty /furoshiki/ zapasy jedzenia, które przygotował po europejsku, z uśmiechem bardzo szczerym i serdecznym położył na stole i powiedział: niech ojciec poprosi katechetkę, by i ona skosztowała z tego, co ja przygotowałem. Jakie było to europejskie jedzenie – trudno mi to określić: jakieś mielone mięso i podsmażone. No – mięso mało kiedy się widzi, więc nadzwyczaj smakowało... Późno już było, gdy się odezwał: a teraz czas, by znaleźć dla mnie dobrą żonę! Ja nie znajdę – odpowiedziałem – ale katechetka zna na naszej wyspie bardzo wielu ludzi – zatem ona tym się zajmie. Poprosiłem ją zaraz, by tak sobie ułożyła czas, aby mogła wyruszyć na poszukiwanie żony dla naszego kucharza i radziłem, żeby zaczęła od naszej stacji misyjnej w Toyohara, a gdy nie będzie odpowiedniej, to niech jedzie aż na wyspę Hokkaido, nawet i do Sapporo. A kucharz spokojnie odpowiedział: wolałbym, żeby zaczęła nauczycielka szukać od Sapporo, lepiej się uda... Tak się stało. Pojechała do Sapporo i tam znalazła w parafii, która się mieści przy klasztorze odpowiednią kandydatkę na żonę. Z miejsca przysłała telegram, by kandydat na męża jak najprędzej przyjechał. Pojechałem i ja z nim – przecież wszystkich ojców w klasztorze znałem, będzie od razu okazja ich odwiedzić i „pochwalić” się, że już pracuję samodzielnie, a gdy w czasie podróży byłem u nich, mało co po japońsku umiałem – prawie nic...

Po zapoznaniu się i po porozumieniu się, że wzajemnie sobie się podobają, zaraz ma odbyć się ślub. Wszystkie dyspensy „młodzi” otrzymali, a ja delegację od o. proboszcza i ten ślub pobłogosławiłem. Piękny był to ślub, wspaniałe przyjęcie weselne. Ja już nie męczyłem się tak, jak to było ze mną na przyjęciu weselnym właśnie w Sapporo, kiedy jechałem przez Sapporo na naszą wyspę Karafuto /Z mojej podróży: pobyt w Sapporo/. Nie potrzebowałem już tego zbawczego narzędzia – widelca – a i potrawy mi już smakowały i mogłem nawet żartować... Na następny dzień razem ze „świeżymi” małżonkami powróciliśmy na Karafuto do Maoka. Od zarania była to rodzina naprawdę katolicka, wzorowa pod każdym względem. O ich przykładnym życiu i wychowaniu dzieci – może później wspominać będziemy.

Nowe zmartwienia

Zdawało mi się, że już jakoś praca idzie. Tymczasem doznałem, już nie wiem po raz który, rozczarowania. Przyjechała grupa katolików z północy. Już ich znałem, stąd radośnie witam. Oni chwalili moje postępy w nauce języka. Duma moja rosła... Nie długo jednak. Gdy się rozgościli u mnie na kilka dni – w rozmowach – by okazać mi szacunek jako kapłanowi, używali jak najwyższego stylu w słownictwie. Doszedłem do wniosku, że jeszcze mam straszne braki. Wiele wyrażenia wcale nie rozumiałem. Dyskretnie poprosiłem katechetkę, aby im powiedziała, by do mnie mówili prościej, bo ja jeszcze wyższego stylu nie znam i zastanawiać się muszę, gdyż często nie wiem, o co im chodzi. Zrozumieli... Na pewno u mnie czuli się dobrze. A ja – czekałem kiedy mój „gościnny” dom opuszczą, bo i czasu szkoda, no i męczę się robieniem „dobrej miny”... Pojechali – ulżyło mi... Po refleksjach prosiłem katechetkę, by do mnie mówiła tym ich „szanującym” stylem, gdy będziemy tylko we dwoje, bo muszę się tego nauczyć i z tym się żyć. Tak też i było. Często bardzo się uśmialiśmy, gdy ja wielu słów nie rozumiałem, brałem zupełnie inne znaczenie, o czym tu nie będę wspominał, raczej przy innej okazji.

Pewnego wieczoru około godziny 22.30 wyszedłem z kąpieli. Było lato – cudna noc. Pomyślałem sobie, że szkoda zaraz iść spać. Posiedzę trochę bez światła w oknie, wsłuchując się w szum morza /do morza było tylko 400 metrów/. Wtem ktoś zajeżdża motorem pod mój dom... Przystaje i kieruje swe kroki w kierunku drzwi. „Dare desu ka?” Kto jest? – pytam się. Był to znany mi poganin, którego matka i dwu braci byli już katolikami. Ojciec – mówi przybyły – proszę szybko do nas, bo z matką jest bardzo źle! Zdziwiło mnie to, bo przecież dziś rano była w kościele i nawet przystąpiła do spowiedzi. Ale nie ma czasu – szybko się ubrałem i pytam się, czy jest przytomna? Odpowiedział, że od półtorej godziny przytomność straciła. Wziąłem więc tylko Oleje św. i razem z nim pojechałem. Był tam jeszcze lekarz i pielęgniarka /W Japonii bowiem lekarz nigdy nie udaje się do chorego sam, lecz zawsze z pielęgniarką/. Pytam się lekarza, co się stało? Odpowiedział, że nie wie, ale są objawy zatrucia i serce tak słabe, że ledwie daje znać o sobie. Po odejściu lekarza dowiedziałem się, że wieczorem matka zabrała się do przeglądania i porządkowania rzeczy po najmłodszym synu, który zmarł na płuca przeszło miesiąc temu. Był to najmłodszy syn, któremu udzieliłem chrztu w szpitalu w czasie choroby i codziennie przez trzy tygodnie do szpitala nosiłem mu Komunię św. Byłem świadkiem, jak matka troszczyła się o swego syna w szpitalu i jak go usposabiała, że już nie ma

ratunku, że Bóg chce ofiary z młodego życia, niech tylko się modli i niech czeka, kiedy go dobry Bóg weźmie do siebie – tam już nigdy nie będzie cierpiał. Piękna była jego śmierć. Odtąd matka stale marzyła o tym, by połączyć się z nim przez śmierć. Nie dziwne zatem, że gdy w ów wieczór matka przeglądała po nim pozostałe rzeczy, wpadła w rozpacz, a mając pod ręką morfinę /ahen/, wzięła większą dawkę i do tak strasznego stanu się doprowadziła.

Przybliżyłem się do niej i głośno do ucha powiedziałem słowa, że tutaj przyszedłem, jestem przy niej, chcę ją jeszcze raz rozgrzeszyć, niech tylko żałuje za swój nieroztropny czyn, ja rozgrzeszę i za chwilę udzielę Sakramentu Namaszczenia. Puls jej chwilami na kilka sekund całkowicie ustawał. A jednak w czasie namaszczenia usiłowała się poruszać i wargami coś szeptać, ale nie można było nic rozumieć. Po udzieleniu Namaszczenia puls bił prawie normalnie i częściej poruszała wargami. Siedziałem przy niej do godziny 4-tej, a potem wróciłem do siebie, bo o godzinie 5.30 musiałem odprawić Mszę św. Byłem jakoś dziwnie spokojny i czekałem, że rano ktoś przyjdzie z radosną wiadomością, że już wszystko w porządku i ona przychodzi do sił...

W czasie Mszy św. przyszedł ten sam syn, który był po mnie w nocy. Chociaż poganin, w kościele usiadł na matkach poważnie i miał minę, jakby się modlił. Nie wiedziałem, co z jego wyrazu twarzy wnioskować. Po Mszy św. szybko się rozebrałem i podszedłem do niego i poprosiłem do pokoju. Po odejściu ojca – mówił – minęło niecałe pół godziny i matka zakończyła życie.

Akuratnie dwa dni przedtem katechетка wyjechała. Muszę zatem wszystkim sam się zająć. Wysłałem więc syna zmarłej do domu z poleceniem, by zajęli się przygotowaniem do pogrzebu, a ja za chwilę tam się też udam. Najtrudniejsza rzecz dla mnie to przygotowanie kazania pogrzebowego na dzisiaj wieczór. Kto mi je poprawi i wystylizuje?!

Poszedłem za chwilę do domu żałoby. Słyszę tam, że w sąsiedztwie mieszkający pastor protestancki złośliwie tłumaczy rodzinie, że na pogrzebie misjonarza nie będzie, bo samobójców katolicy nie chowają uroczyscie z księdzem. Poszedłem do niego i mu wytłumaczyłem, że właśnie będę i zarazem wyjaśniłem mu znaczenie i działanie Sakramentów, których oni nie mają i dodałem: a ja jako kapłan zaopatrzyłem ją Sakramentami św. i wszystko jest w porządku i będę przewodniczył w modlitwach, kazanie powiem i poprowadzę nieboszczkę do grobu.

Kazanie powiem – na co zostaje mi ponad dwie godziny. O czym tu mówić? Przecież jednak to było w oczach ludzi samobójstwo. Trzeba się uspokoić i zacząć

myśleć... Zaświtało mi porównanie: Matka Boska pod krzyżem i ta nieszczęśliwa matka kochająca mocno najmłodszego syna. Matka Jezusowa pod krzyżem patrzyła na Jego mękę i na śmierć samą. Cały obraz życia Jej syna przesuwiał się przed Jej oczyma... Na pewno często o tym myślała i Jej macierzyńskie serce wytrzymało. A ta matka – widziałem jak syna pielęgnowała w szpitalu – nie spała i nie jadła, pieściła go wprost i po twarzy głaskała, a teraz wspominając go – jej macierzyńskie serce nie wytrzymało... Chciała być tam, gdzie on jest. Dlatego do tego doszło... i dalej mówiłem o pamięci za zmarłych, pamiętać o nich w modlitwach.

Strasznie przeżyłem to kazanie, bo mówiłem je zupełnie w prostych słowach. A jaki skutek kazania? Po modlitwach i kazaniu nieśmiało siedziałem chwilę z sąsiadami poganami i rozmawialiśmy... Ja mówiłem bardzo nieśmiało, bo wstydziłem się moich wyrażen w kazaniu. Jeden z nich powiedział: Pięknie o niej ojciec mówił – dobre to było dla wszystkich matek! Tak bowiem jak ona powinna postąpić każda matka, która prawdziwie kocha swoje dziecko... O! Nie chciałem takiego efektu mojego kazania... I myślałem wówczas: Mogłem przecież nie mówić, mogłem się wytłumaczyć niespodziewaną śmiercią, brakiem czasu na przygotowanie, bo po japońsku jeszcze się uczę – nie musiałem mówić kazania... Na pewno byłby lepszy skutek. Ale już stało się! O tak! Bez dobrej znajomości języka nie powinno zabierać się do samodzielnej pracy, lecz jak wszystkim wiadomo, tak musiałem...

Na cmentarzu wszystkie ceremonie odprawiłem. I jeszcze pomodliliśmy się za wszystkich naszych zmarłych, a potem zwracam się do rodziny: Pięknie będzie, gdy za krzyżem posadzicie drzewo wiśni, bo matka wasza bardzo kwiat wiśniowy lubiła. I oto znowu „strzeliłem” gafę. W japońskim bowiem języku wiśnia znaczy sakura, a w brzmieniu podobne mi się wydawało słowo ryba, co znaczy sakana. I tak to chciałem powiedzieć słowo wiśnia, a powiedziałem ryba. Widziałem wówczas, że miny uczestników pogrzebu są jakieś dziwne, ale wówczas nie wiedziałem dlaczego. W powrotnej drodze dopiero żona mojego profesora grzecznie mi zwróciła uwagę, że chyba chciałem powiedzieć słowo sakura, a powiedziało mi się sakana. I tak powiedziałem sobie: Nie umiesz człowieku – a się rwiesz... Cały ten wypadek z nieboszczką, nieudane kazanie, w dodatku ta mająca być zasadzona ryba, to wszystko tak mnie minorowo nastroiło, że o mało nie wpadłem w rozpacz... Za wcześnie byłem pewny siebie – pomyślałem – i gdy wieczorem byłem już tylko sam – zapłakałem sobie... Zacząłem odtąd wstydzić się publicznie występować, ale przecież musiałem, bo byłem proboszczem...

„Jak się wali – to się wali”. Miałem znowu takie zdarzenie: Najpierw jestem zmuszony zrobić małą dygresję. Japończycy cieszą się każdym dzieckiem, które mnoży ilość członków rodziny – wprost każde dziecko ubóstwiają. Ale... To nie przeszkadza, gdy jakaś rodzina popadnie w nędzę, ojciec swoje dziecko /dziewczynkę/ sprzedaje. Kumu ją sprzedaje? Przedsiębiorcy, który ją wychowa na artystkę /geisha/ lub sprzeda właścicielowi restauracji, kawiarni albo hotelu i zostaje również geishą lub kelnerką /O ich losie będę pisał w rozdziale o zwyczajach/. Gdy sprzedaje, nie ma już do niej żadnego prawa. Przed drugą wojną światową „taki towar” kosztował 2000 yen. Na przedwojenne polskie złote wynosiło to 4.500 zł. Naturalnie taka dziewczyna musiała być przystojna, zgrabna, zdolna, nie licząca więcej jak 12 – 13 lat.

W miasteczku Rutaka oddalonym od Maoka 64 km, była rodzina, której ojciec był poganinem, ale żona i dzieci za jego pozwoleniem i zgodą przyjęły Chrzt – on wcale im nie przeszkadzał w spełnianiu obowiązków religijnych. A jednak, gdy bieda rozgościła się w ich domu, sprzedał swoją córeczkę /na imię chrzestne miała Teresa, pogańskie Sumi-ko/. Została wpierw posługiwaczką, a potem kelnerką w kawiarni. Pewien młody, bogaty Japończyk nazwiskiem Yoshida, bywając częstym gościem w kawiarni, przypatrując się jej, podziwiał skromność, dziwną powagę, a i wiele wdzięku w jej prostocie – pomyślał sobie, że z tej młodej dziewczyny może być dobra i wspaniała kandydatka na żonę.

Porozumiawszy się z gospodarzem, zapłacił mu więcej niż on dał za dziewczynę i wziął ją za żonę. Matka nieszczęśliwej dziewczyny doniosła mi o tym. Namyslałem się kilka dni co robić, by ślub cywilny doprowadzić do rangi Sakramentu małżeństwa – na ten temat każdego dnia rozmawiałem z katechetką i przyswajałem sobie rozmaite wyrażenia, które mogą mi się przydać w rozmowie z młodym poganinem, nabywcą dziewczyny. Bałem się spotkania z nim, nie wiedziałem bowiem, co to za człowiek.

Po kilku dniach pojechałem. Wpierw zatrzymałem się w domu jej rodziców, gdzie wypowiadałem wszystkich i na drugi dzień odprawiłem Mszę św. Z matką szczerze porozmawiałem na ten temat, z ojcem nie bardzo mi się kleiło. Nie mówiłem też z nim nic w tym sensie, że w takim razie mógłbym pomóc, bo w swej naiwności, aby zarobić, może by jeszcze jedną córkę sprzedał – a miał taką. Z matką uchwaliliśmy, że pójdzie do córki i zawiadomi ją, że zjawię się u nich, gdy „mąż” wróci z pracy, niech ona przygotuje lepszy posiłek z pomocą matki i sama niech się przygotuje do spowiedzi, mężowi nic nie mówiąc, że przyjdzie do nich ksiądz katolicki.

I tak się stało. W godzinach wieczornych udałem się do tego domu sam, gdy mąż wrócił z pracy, a jeszcze nie zdążył zasiąść do posiłku. Na moje odezwanie się w przedpokoju – młodziutka gospodyni Sumi-ko otwierając drzwi przywitała mnie bardzo serdecznie, chociaż może w sercu miała wiele sprzecznych uczuć. Prosiła bym wszedł. Według zwyczaju – zdjawszy obuwie, wszedłem i przez nią przedstawiony, witam się z gospodarzem. Bardzo dodatnie na mnie zrobił wrażenie. Był nadzwyczaj grzeczny i gościnny, chociaż jak powiedział, pierwszy raz rozmawia z obcokrajowcem. Mówiliśmy najpierw o rzeczach obojętnych. Natomiast w czasie kolacji, którą podała Sumi-ko, zacząłem rozmowę o ich małżeństwie. Starłem się mówić rzeczowo, mówiłem też powoli starając się dobrze artykułować każde słowo. Widzę ciebie młodego – tak mniej więcej usiłowałem kierować słowa – i twoją żonę młodziutką, wyglądacie obydwój na bardzo szczęśliwe małżeństwo. Ona lekko się uśmiechnęła... Właściwie ty – kieruję się do niego – jesteś na pewno bardzo szczęśliwy, ale ona chyba nie. On z tupetem odpowiada: obydwój jesteśmy bardzo szczęśliwi, dlaczego moja żona ma być w twoim pojęciu nieszczęśliwa? Odpowiedziałem spokojnie: Ona, jak chyba wiesz, a może nie wiesz – jest katoliczką, ale to nie ma nic do rzeczy – możecie być jako małżeństwo bardzo szczęśliwe – tylko trzeba jednej rzeczy dokonać. A jakiej? – pyta zdziwiony. Rzecz to nie trudna, odpowiadam i wyjaśniam powoli: dla ludzi o pogańskich przekonaniach wystarczy zawrzeć kontrakt małżeński i mogą być bardzo szczęśliwym małżeństwem. Natomiast nie wystarczy taki kontrakt dla strony katolickiej, a Sumi-ko jest katoliczką. W takim razie, czy ja też muszę przyjąć katolicką wiarę, abyśmy byli naprawdę szczęśliwym małżeństwem? – rzuca pytanie. O nie, odpowiadam. Wprawdzie byłoby bardzo dobrze, gdybyś przyjął katolicyzm, ale w tej chwili o to nie chodzi. A o co? Jest takie prawo dla katolików – wyjaśniam, że powinien jeszcze odbyć się ślub przed kapłanem katolickim. A gdzie go szukać? Ja nim jestem i możemy to zaraz uczynić, tylko nam potrzeba jeszcze dwóch świadków – może być jej matka i jeden z braci. Dobrze – odpowiada on – proszę robić co tylko potrzeba, bo ja chcę, żeby moja żona była naprawdę szczęśliwą. Wszystko zaraz będzie w porządku, ja pójdę do domu jej matki, a wy tymczasem ubierzcie się odświętnie, bo to ważna chwila. Dodałem: A ty jeśli chcesz, żeby wszystko było w porządku, to musisz dać na piśmie zobowiązanie, że wszystkie dzieci od razu będą chrzczone i nad tym w mojej nieobecności zastanów się!

Udałem się do domu jej matki i umówiłem świadków, ale słuchając naszych rozmów i jej ojciec z nami się wybrał, widocznie spodziewał się lepszego przyjęcia,

co zresztą było... Gdy przybyliśmy, dałem wszystkie dyspensy, młoda się wyświadała, przy świadkach pouczyłem młodego odpowiednio, zachęcając do wspólnej modlitwy z małżonką. Bez wahania dał też na piśmie zobowiązanie, że każde dziecko po urodzeniu jak najprędzej otrzyma Chrztost św. Następnie odbyła się ceremonia ślubu, a potem w przeziłym nastroju posiedzieliśmy przy dobrej kolacji prawie do północy. Na drugi dzień rychło rano – przed jego pójściem do pracy – odprawiłem Mszę św., na której była także jej matka i siostry, i bracia. Wszyscy byli u Komunii św. Młody poważnie przyglądał się wszystkiemu. Wróciłem do siebie. Tym razem bardziej zadowolony niż kiedykolwiek, bo bałem się tę sprawę załatwiać, nie znając usposobienia człowieka. Wprawdzie przemodliłem tę sprawę i przygotowałem się rzeczowo i językowo. Jakoś szczęśliwie poszło, ale nie byłem pewny, czy moja japońszczyzna naprawdę uchwyciła serca uczestników, bo przy okazji chciałem wszystkich pouczyć o ważności i doniosłości Sakramentu małżeństwa, by takich pomyłek nie było w tej rodzinie. W refleksjach dodałem sam sobie: Więcej muszę wkładać siły i możliwości moich w naukę języka, a pracę na razie wykonywać w takim zakresie, ile konieczność wymaga i moje siły na to stać. Cierpliwości i wytrwałości mi potrzeba, nie płakać wieczorami, bo już nie raz przekonałem się, że bez dobrej znajomości języka nie da się skutecznie pracować.

GUSTAWA MARIANA STYSIAKA OFM WSPOMNIENIA MISYJNE, 1939–1942

(Streszczenie)

Misjonarz bernardyński Gustaw Marian Stysiak OFM napisał wspomnienia zatytułowane *Moje wspomnienia misyjne z Sachalinu*. Obejmują one okres od 1939 r. do roku 1942. Przechowywane są w Archiwum Prowincji oo. Bernardynów w Krakowie pod sygnaturą RGP-k-129. Maszynopis obejmuje 72 strony. 5 marca 1939 r. o. Stysiak wyjechał ze Lwowa na Sachalin japoński. Przybył do Sapporo, a stamtąd dotarł na wyspę 3 maja 1939 r. Po krótkim pobycie w Toyohara, udał się do Maoka, gdzie przygotowywał się do pracy misyjnej i uczył się miejscowego języka. W latach 1945–1948 pełnił obowiązki prefekta apostolskiego, a zarazem komisarza prowincjalnego. Jemu przypadło w udziale zadanie likwidacji misji na Sachalinie.

Słowa kluczowe: Bernardyni, misje, Sachalin

MEMORIE MISSIONARIE DI GUSTAW MARIAN STYSIAK OFM, 1939–1942

(Riassunto)

Il missionario bernardiniano Gustaw Marian Stysiak OFM ha scritto un libro di memorie intitolato *I miei ricordi missionari da Sakhalin*. Coprono il periodo dal 1939 al 1942. Si trovano nell'Archivio della Provincia di Bernardyniani a Cracovia sotto il numero di riferimento RGP-k-129. Il manoscritto è composto da 72 pagine. Il 5 marzo 1939, p. Stysiak ha lasciato Lviv ed è partito per Sakhalin giapponese. È arrivato a Sapporo e da lì ha raggiunto l'isola il 3 maggio 1939. Dopo un breve soggiorno a Toyohara, si è recato a Maoka, dove si è preparato al lavoro missionario ed ha imparato la lingua locale. Negli anni 1945–1948 è stato prefetto apostolico e anche commissario provinciale. Gli è stato affidato il compito di liquidare la mission:ne a Sakhalin.

Parole chiavi: Bernardini, missioni, Sakhalin

Tłumaczył Kajetan Kowalski OFM

BIBLIOGRAFIA

Źródła

Archiwum Prowincji oo. Bernardynów w Krakowie (APBK)

rkps VI-c-6, *Liber novitiatus FF. Minorum in conventu Leżajscensi*, 1897–1929.

rkps VI-c-11, *Liber novitiatus [- -] in conv. Leżajscensi*, 1929–1960.

rkps X-19, Spis uczniów Kolegium Serafickiego OO. Bernardynów w Radecznicy, 1922–1950.

rkps RGP-d-4, Akta dotyczące studiów Prowincji Galicyjskiej i Polskiej Zakonu Braci Mniejszych bernardynów, 1831–1943.

rkps RGP-e-47, Akta personalne zakonników, 1771–1959.

rkps RGP-h-1, Akta dotyczące misji i rekolekcji, prowadzonych przez Zakon Braci Mniejszych bernardynów, 1823–1944.

rkps RGP-k-78, Teki Cz. Bogdalskiego, t. 61.

Schematismus totius Ordinis Fratrum Minorum, Quaracchi-Firenze 1938.

Opracowania

- Borowski J., *Gimnazjum i liceum franciszkanów-bernardynów w Radecznicy, 1920–1950*, Stalowa Wola 2015.
- Chadam A., *Harbin*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce w jej granicach historycznych*, red. H. E. Wyczawski, Kalwaria Zebrzydowska 1985, s. 467–470.
- Chadam A., *Toyohara*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce w jej granicach historycznych*, red. H. E. Wyczawski, Kalwaria Zebrzydowska 1985, s. 477–479.
- Czarniak W., *Franciszkańska misja na Sachalinie, 1911–1948*, Kalwaria Zebrzydowska 2003.
- Grudziński K. J., Sitnik A. K., *Bernardyni w służbie Ojczyzny, 1453–1953*, Kalwaria Zebrzydowska 2015.
- Grudziński K., *Stysiak*, w: *Słownik polskich pisarzy franciszkańskich*, red. H. E. Wyczawski, Warszawa 1981, s. 470–471.
- Grudziński K., Śp. O. Gustaw Stysiak, „*Vita Provinciae*” 1 (1985), s. 68–71.
- Grudziński K., *Wilczyński*, w: *Słownik polskich pisarzy franciszkańskich*, red. H. E. Wyczawski, Warszawa 1981, s. 518–519.
- Jusiak R., *Sanktuarium św. Antoniego w Radecznicy – w kontekście środowiska lokalnego*, Kalwaria Zebrzydowska 2013.
- Kachel J., *Bernardyni, 1453–2003*, cz. 5, Warta 2004.
- Kachel J., *Bernardyni, 1453–2003*, cz. 6, Warta 2004.
- Kantak K., *Bernardyni polscy*, t. 2, Lwów 1933.
- Wyczawski H. E., *Bernardyni polscy, 1772–1946*, t. 3, Kalwaria Zebrzydowska 1992.
- Wyczawski H. E., *Bernardyni poza swymi klasztorami w XX wieku*, w: *Klasztory bernardyńskie w Polsce w jej granicach historycznych*, red. H. E. Wyczawski, Kalwaria Zebrzydowska 1985, s. 497.